NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

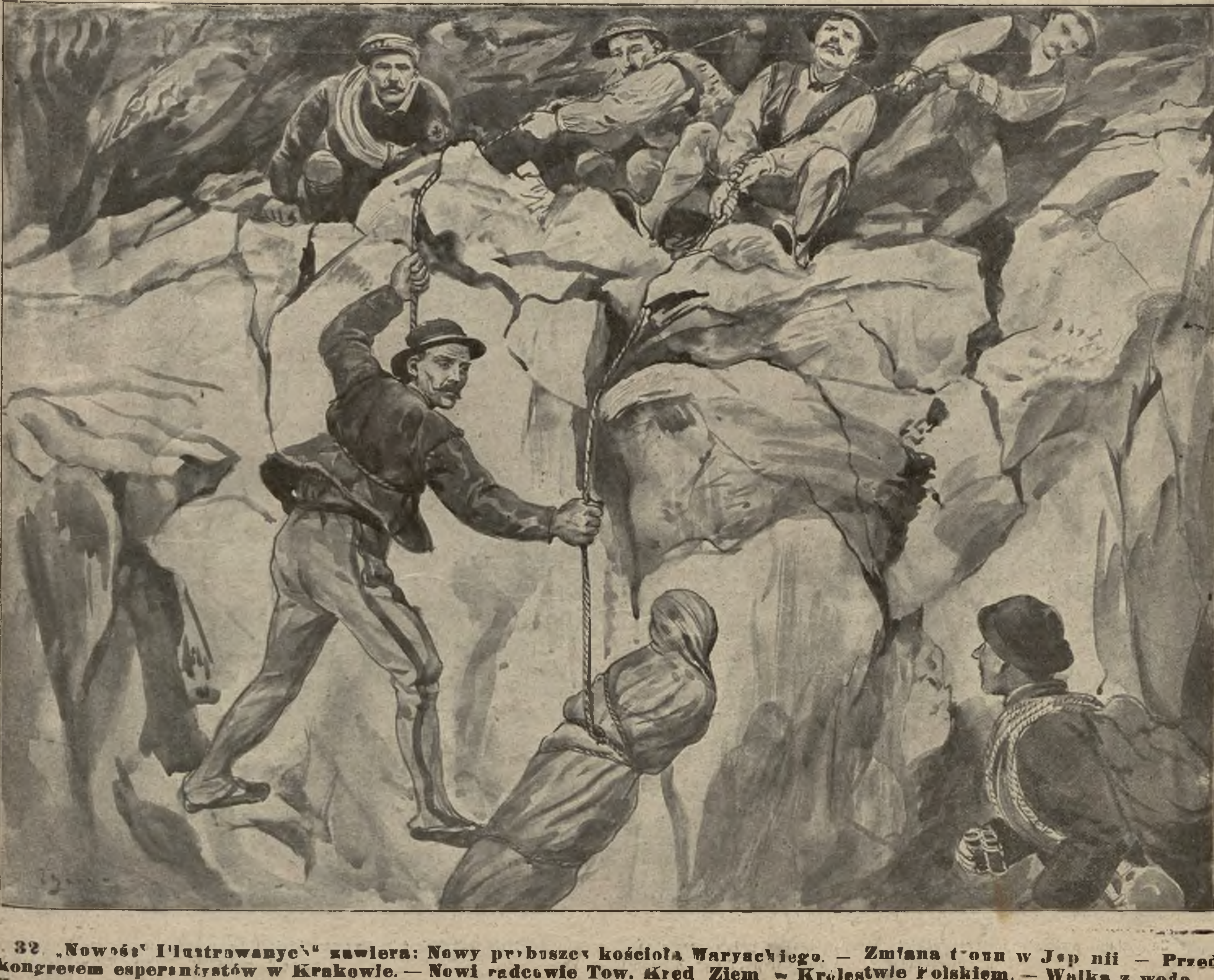
Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy. — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 10 sierpnia 1912. Nr. 32.

Znalezienie zwłok ś. p. Szystowskiej.



Nr. 32 „Nowości Illustrowanych" zawiera: Nowy proboszcz kościoła Maryackiego. — Zmiana tronu w Japonii — Przed kongresem esperantystów w Krakowie. — Nowi radcowie Tow. Kred. Ziem. w Królestwie Polskiem. — Walka z wodą — Zgon znakomitego lekarza Polaka. — Nauczycielski kurs przemysłowo-kupiecki we Lwowie. — Dla młodego pokolenia. — 40 lat walki z ogniem. — Poświęcenie sokolni w Bełzcu. — Echa walki z bandytami w Szczakowej.

Znalezienie zwłok ś. p. Szystowskiej.

(Do illustracyi tytułowej).

Zagadka „tajemniczego zniknięcia“ p-ny Aldony Szystowskiej została wreszcie rozwiązaną. Niestrudzonemu naczelnikowi Pogotowia tatrzańskiego, p. Maryuszowi Zaruskiemu, po długich bezowocnych poszukiwaniach udało się w końcu odszukać zwłoki nieszczęśliwej ofiary Tatr — na dnie 200 m-trowej przepaści. Wyprawa, złożona z ochotników Pogotowia pod dowództwem p. Zaruskiego, niedowierzając przypuszczeniom o zamordowaniu p-ny Szystowskiej przez juhasów, wyruszyła jeszcze raz celem ponownego przeszukania t. zw. Groty rozpadłej, leżącej na południowym stoku Krzesanicy, oraz ścian Wielkiej Turni i Małołączniaka. Podczas tych poszukiwań przewodnik Zdyb znalazł w żlebie pomiędzy Kobylarzem a Wielką Turnią, w miejscu, gdzie się kończą łagodne pochyłości — worek turystyczny, który, jak się przekonano, należał do p-ny Szystowskiej. Nie ulegało wątpliwości, że p-na Szystowska, chcąc sobie ulżyć na trudnym terenie, zdjęła worek i poszła w kierunku Zakopanego, które z tego miejsca widziała jak na dłoni. Czyniono więc dalej poszukiwania, które zostały uwieńczone pomyślnym wynikiem. Idąc we wskazanym kierunku, p. Zaruski doszedł na brzeg stromej, prawie prostopadłej ściany o wysokości 200 metrów. Spuściwszy się na linie przeszło 100-metrowej dojrzał na progu skalnym zwłoki ś. p. Szystowskiej, leżącę głową na dół. O dostaniu się do zwłok nie było na razie mowy, gdyż nawet dwie związane linki nie sięgały miejsca, gdzie zwłoki leżały. Powrócono więc do Zakopanego, skąd przybyła dopiero specyalna ekspedycya, zaopatrzona we wszelkie potrzebne środki. P. Maryusz Zaruski i kilku członków Pogotowia dotarło od dołu do zwłok, które już się rozkładały. Owinięto je w ceratę, obwiązano linką i z wielkim trudem spuszczono poniżej na śniegi, jak to przedstawia nasza tytułowa illustracya. — Następnie zwłoki włożono do trumny i przewieziono do Zakopanego.

Dokonana w Zakopanem sekcya zwłok ś. p. Szystowskiej wykluczyła wszelką możliwość morderstwa. Smierć ś. p. Szystowskiej, jak stwierdzono, nastąpiła skutkiem strzaskania czaszki o skały i była momentalną...

Zwłoki nieszczęśliwej ofiary Tatr pochowano w niedzielę na cmentarzu zakopiańskim, przy bardzo licznym udziale publiczności. Trumnę wynieśli z kostnicy członkowie Pogotowia, a nad grobem pożegnał zmarłą w gorących słowach prof. Stroka.

Tragiczny wypadek ś. p. Szystowskiej powinien być poważną nauką na przyszłość. Przekonał bowiem, że nawet ci, co znają dobrze Tatry, lekceważą ich niebezpieczeństwa. Przecież uznano teren, gdzie zginęła p-na Szystowska, za bardzo łatwy, skutkiem czego przypuszczano raczej morderstwo, niż wypadek i w tym kierunku było też prowadzone śledztwo.

I cóż się okazało? Z „bezpiecznego“ terenu ś. p. Szystowska stoczyła się na niedostępne prawie urwiska i runąwszy z 200 metrowej wysokości znalazła straszną śmierć na tatrzańskich skałach...



Znalezienie zwłok ś. p. Szystowskiej: Członkowie ostatniej ekspedycyi ratunkowej, która odszukała zwłoki ś. p. Szystowskiej i przewiozła je do Zakopanego. (Fot. „Tatry“, Zakopane).



Znalezienie zwłok ś. p. Szystowskiej: Zwłoki ś. p. Szystowskiej po spuszczeniu ze skały. (Fot. „Tatry“, Zakopane)

Nowy proboszcz kościoła Maryackiego.

Jedna z najstarszych parafii w Polsce, przy kościele Panny Maryi w Krakowie, osierocona przez śmierć znanego i cenionego prałata, ks. Krzemińskiego, otrzymała nowego pasterza w osobie ks. arcybiskupa Franciszka Albina Symona. Nominacyę tę całe społeczeństwo polskie powitało z uznaniem i radością.

Ks. arcybiskup Symon urodził się 13 marca 1841 roku we wsi Dubowcu pod Żytomierzem. Ukończywszy szkoły średnie, wstąpił w r. 1856 do duchownego seminaryum w Żytomierzu, następnie zaś przeniósł się do Akademii duchownej w Petersburgu. Wyższe studya teologiczne ukończył następnie w Monachium, gdzie w r. 1864 uzyskał doktorat teologii. Wyświęcony w Rzymie, powrócił do Petersburga, gdzie został profesorem w Akademii duchownej.

W r. 1883 został powołany na stanowisko rektora Akademii duchownej w Petersburgu, zaś w r. 1891 został prekonizowany na biskupa sufragana mohylewskiego. Przydzielony do pomocy arcybiskupowi Kozłowskiemu, człowiekowi już wiekowemu,



Nowy proboszcz kościoła Maryackiego: Ks. Arcybiskup Symon.



Znalezienie zwłok ś. p. Szystowskiej: Tłumy publiczności podczas pogrzebu ś. p. Szystowskiej w Zakopanem. (Fot „Tatry“, Zakopane).



Znalezienie zwłok ś. p. Szystowskiej: Członkowie Pogotowia ratunkowego niosą trumnę do grobu. (Fot. „Tatry“, Zakopane).

sprawował w jego imieniu rządy archidyecezyi mohylewskiej i złączonej z nią dyecezyi mińskiej.

W r. 1897 ks. Symon został mianowany biskupem płockim. Niebawem jednak wskutek specyalnych warunków swej pracy duszpasterskiej musiał udać się do Odessy, gdzie przebywał do r. 1901. W roku tym zrzekł się biskupstwa płockiego i otrzymawszy tytuł arcypasterza, wyjechał do Rzymu, gdzie aż do ostatnich czasów przebywał.

Objęcie przez arcybiskupa Symona administracyi parafii Najśw. Panny Maryi w Krakowie da miastu naszemu trzeciego biskupa.

Illustracya nasza przedstawia podobiznę ks. arcybiskupa Symona.



Znalezienie zwłok ś. p. Szystowskiej: Sędzia Stiasny, który prowadził dochodzenia śledcze w sprawie zaginięcia ś. p. Szystowskiej.

Poświęcenie Sokolni w Bełzcu.

Organizacye gimnastyczne „Sokoła" istnieją dzisiaj już prawie we wszystkich miastach Galicyi. Każde gniazdo stara się wedle sił swoich zagospodarować się odpowiednio, aby jak najlepiej módz służyć swym członkom. Warunkiem nieodzownym jednak jest, aby każda organizacya posiadała własny kąt i dach nad głową, gdzieby ćwiczenia ducha i ciała, które są dewizą „Sokolstwa" polskiego mogły w całej pełni się rozwijać.

Dzielni druhowie nie skąpią grosza, aby zebrawszy drogą składek i datków odpowiednie fundusze budować dla gniazd własne domy. Akcya w tym kierunku jest w kraju bardzo ożywiona i wydała dotychczas bardzo dobre rezultaty.

Przed kilkunastu dniami gniazdo sokole w Bełzcu obchodziło uroczyście poświęcenie własnego gmachu.



Poświęcenie sokolni w Bełzcu: Ks. biskup Bandurski dopełnia aktu poświęcenia. (Fot. M. Münz, Lwów).

W akcie uroczystym wzięły udział liczne okoliczne gniazda, a ceremoniału kościelnego dopełnił ks. biskup Bandurski.

O godz. 11 rano ruszył uroczysty pochód na polankę przed nowym gmachem. Po nabożeństwie polowem, które odprawił miejscowy proboszcz wygłosił ks. biskup Bandurski podniosłe kazanie. Przemówił następnie p. Janikowski, imieniem Związku sokolego, poczem ks. biskup dopełnił poświęcenia.

Po południu odbyły się ćwiczenia lancami i karabinami.

Illustracye nasze przedstawiają dwa momenty z aktu poświęcenia.

Zmiana tronu w Japonii.

Państwo wschodzącego słońca przechodzi obecnie poważne przesilenie wewnętrzne. Stary mikado Mutsuhito zmarł na raka w żołądku przed kilkunastu dniami. Z nim zeszły do grobu tradycye świetnych czynów wojennych, ekspanzyi państwa japońskiego, która swojego czasu poruszyła całą Europę.

Następcą jego został syn cesarza Mutsuhito, trzydziestokilkoletni Haru Joshihito. Urodził on się w r. 1879 z jednej z pięciu pobocznych żon ojca. Według prawa japońskiego, które pozwala cesarzowi, aby miał 12 żon, dzieci tych żon są bezwzględnie równouprawnione do dziedziczenia tronu. To też minister Ito za zgodą cesarza proklamował w r. 1887 ośmioletniego księcia Haru Joshihito następcą tronu.

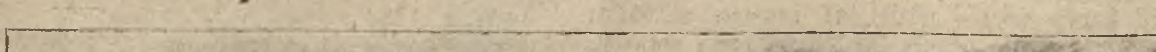
Wykształcenie swe odebrał nowy cesarz japoński częścią w domu u boku cesarza, częścią w szkole publicznej. Nie było to jednak kształcenie przyszłego mikada według starodawnych zwyczajów na najwyższego religijnego przywódcę. Przeciwnie, przyszły cesarz otrzymał wykształcenie na wskróś wojskowe. Mimo to do armii japońskiej nie wstąpił, gdyż według japońskiego zapatrywania w otoczeniu cesarza nie należy nosić mundurów wojskowych.



Znalezienie zwłok ś. p. Szystowskiej: Wielka Turn'a (X) Miejsce, w którem znaleziono zwłoki ś. p Szystowskiej (Fot. „Tatry", Zakopane).

Kiedy został ogłoszony oficyalnie następcą tronu, otrzymał własny dwór i zamieszkał w osobnym pałacu. W r. 1900 ożenił się z księżniczką Sadako, pochodzącą z domu Konoye. Z małżeństwa tego urodziło się trzech synów, z których najstarszy Hirohito-Mitinomya zostanie obecnie po wstąpieniu na tron ojca następcą tronu.

Nowy cesarz posiada liczne przymioty. Znany



Znalezienie zwłoki ś. p. Szystowskiej: Widok z Hali w Dolinie Małej Łąki na Wielką Turnię. (X) Punkt, w którym ś. p. Szystowska zostawiła swój worek turystyczny. (.....) Droga, którą schodziła. (XX) Miejsce, gdzie zaczęła spadać. (XXX) Miejsce, gdzie znaleziono jej zwłoki. (Fot. „Tatry", Zakopane).



Walka z wodą: Uczestnicy i kierownicy pierwszego kursu ratownictwa wodnego w Haliczu (Fot. Józef Sroka).



Walka z wodą: Uczestnicy kursu ratownictwa wodnego podczas nauki na promie. (Fot. Józef Sroka).

i ceniony jest ze swej szybkiej oryentacyi i pamięci. Również w codziennem życiu odznacza się wielką uprzejmością i serdecznością. Namiętny wielbiciel



Zmiana tronu w Japonii: Nowy cesarz japoński Haru Joshihito.

sztuki i literatury, chciwie korzysta ze znajomości języka francuskiego, aby wiadomości swe na tem polu uzupełniać.

Nowy mikado nie cieszy się jednak dobrem zdrowiem, gdyż kilkakrotnie ciężko chorował. Obecnie też, równocześnie z ojcem, przebywał ciężką słabość, ale podźwignął się z niej, pełen energii, jak zresztą każdy Japończyk.

Illustracye nasze przedstawiają nowego cesarza i jego małżonkę.

Kurs gospodarstwa domowego w Muszynie.

Zarząd główny galicyjskich Kółek rolniczych rozwija wszechstronnie żywą działalność tak wśród włościaństwa, jak również wśród mieszczan po mniejszych miasteczkach.

Nowością, od roku wprowadzoną, są kursy trzymiesięczne gospodarstwa domowego dla włościanek i dla mieszczanek.

Niedawno urządzono taki kurs dla córek muszyńskich mieszczan. Inicyatywę do urządzenia kursu dało miejscowe Koło T. S. L., a szczególnie pp. Parylewiczowie, hr. Komorowska i burmistrz Hetper z małżonką. Z ramienia Zarządu głównego Kółek rolniczych kierowali kursem inspektor rolniczy pan Szczepański i trzy nauczycielki; z ramienia Zarządu powiatowego prezes Jan Skąpski i Władysław Mazur; z ramienia miejscowego Kółka ks. Gawor. Wykłady prowadzili fachowcy w różnych kierunkach, powołani z Muszyny, Krynicy, Nowego Sącza i Lwowa.

W kursie wzięło udział 41 uczenic, w wieku 15—19 lat, które uczyły się tam historyi polskiej, religii, śpiewu, prania, szycia, kroju, gotowania, umiejętności obchodzenia się z drobiem, trzodą, gospodarstwem, wreszcie ogrodnictwa, a nadto hygieny i pedagogiki. Wyniki kursu były bardzo dobre.

Illustracya nasza przedstawia grupę uczestniczek kursu wraz z jego kierownikami i protektorami.



Zmiana tronu w Japonii: Nowa cesarzowa japońska Sadako.



Kurs gospodarstwa domowego w Muszynie: Kierownicy i uczestniczki kursu.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

29)

— Ależ nie... tylko poco się narażać na plotki. Kto wie, czy nie będziesz tu mieszkała stale, a nie należy zrażać sobie ludzi.

— Ach, Romku, Romku, jak ty sfilistrzałeś! I co będzie z ciebie, gdy się tu ożenisz i osiądziesz? Drugie wydanie wuja radcy.

— O, przepraszam, tej rangi nie będzie miał, — zaśmiał się doktor.

— I ty na seryo to mówiłeś, Romku?

— Zwróciłem ci uwagę, a ty zrobisz, co zechcesz.

— Jeszcze tego brakowało, — zawołała Irena. — Powiedz sam, co ja mam wspólnego z tymi ludźmi abym miała dbać o ich opinię?

— Dajmy spokój, nie mówmy o tem.

— Byłbyś lepiej zrobił, gdybyś nie zaczynał, — przycięła mu Irena.

— Stało się, — uśmiechnął się z przymusem.

— Taki koniec morałów powinien być zawsze w bajkach dla dorosłych dzieci. A teraz do widzenia, — podał doktor rękę Irenie, — i lecz się pani.

— Nie wstąpi pan do nas?

— Innym razem bardzo chętnie, — pożegnał ich.

XXII.

Pan Filarek zapowiedział przy obiedzie tonem uroczystym:

— Dosyć mi już tych konkurów, spokoju nie mam. Nigdy nie wiadomo, kiedy który się zjawi i zakłóci mi porządek domowy.

— Jeszcze tobie, jak tobie, — westchnęła pani Urszula, — ale mnie gorzej, bo nie wiem na kiedy i jaką przygotować kolacyę, a teraz drożyzna i koszt wielki.

— To racya, — skinął głową Filarek, — a do tego ludzie jakby się uwzięli; niema dnia, ażeby nie ten, to ów nie pytał mnie, czy już po oświadczynach? kiedy ślub? A nasz sąsiad najdokuczliwszy, bo ile razy mnie spotka, pyta, kiedy wezmę u niego pierścionek zaręczynowy i żebym koniecznie przysłał narzeczonego po obrączki ślubne.

— Także mu się zachciewa, — oburzyła się pani Urszula, — masz przecież ten pierścionek z turkusem, tylko go odnowić, a będzie dobry.

— I ja tak myślę, ale mamy czas zrobić to po oświadczynach, bo zaręczyny muszą być uroczyste i uproszę księdza kanonika, ażeby był obecny. I jeszcze raz mówię wam wyraźnie, że dość tych konkurów, — spojrzał wymownie na Manię.

— Czy to moja wina? — odezwała się Mania, — Czajkowski ciągle prosi o pozwolenie rozmówienia się z tatusiem, a tatuś ciągle zwleka.

— Niema sensu za trzy grosze w tem, co mówisz. Niewielka sztuka wydać ciebie za mąż za niego, ale potem spadnie mi na kark i on, i jego familijka, no i dzieci, a tego nie chcę. Dziś jeszcze dowiem się, jak ten panicz stoi, bo ta spółka ze Stokłosem i ten kinematograf, to gruszki na wierzbie.

— No, a co z Butrinkiem? — spytała pani Urszula.

— On teraz bardzo zajęty. Tam w urzędzie są jakieś zmiany i nie ma czasu, jak mi mówił, zająć się sprawami osobistemi.

— Ładny z niego kawaler, — zaśmiała się Stasia, — dla którego najpierwszą rzeczą są te głupie sprawy urzędowe. Nigdybym za niego nie poszła.

— Nie pleć głupstw, — zgromił ją ojciec, — chleb jest rzeczą najważniejszą, a on z urzędu żyje. To człowiek praktyczny, rozumny, nie taki wartogłów jak Czajkowski, który umie tylko wzdychać, przynosić kwiaty i książki... ale to się raz skończy. Kiedy on ma przyjść? — zwrócił się do Mani.

— Nie wiem, coś mi wspominał, że bardzo zajęty, bo robią inwentarz we fabryce.

Filarek spojrzał na zegar ścienny i rzekł:

— Zdrzemnę się, a ty Urszulko zbudź mnie koło piątej. Wstał od stołu i wyszedł.

Tego samego wieczora, około godziny szóstej przyszedł Butrinek bez córki, ubrany staranniej niż zwykle, z twarzą ogoloną, na której znać było ślady pudru fryzyerskiego, z wąsami starannie do góry podczesanymi i przywitawszy się z panią Urszulą w przedpokoju, spytał:

— Czy zastałem pana Filarka?

— Wyszedł, ale wkrótce wróci, — odpowiedziała bardzo uprzejmie.

— Szkoda, mam do niego ważny interes, ale przyjemnie mi będzie pogadać z paniami i zaczekać na jego powrót. Czy panna Marya w domu?

— Gdzież miałaby być? — odparła tonem lekko urażonym, — jeśli ja jestem w domu, to Mania i Stasia są także. Wieczorami moje panny nigdy same nie wychodzą. Proszę pana dalej, do salonu, — szła pierwsza.

— Ja to wiem, — mówił idąc za nią, — siostrzenice pani nie należą do tych rozwydrzonych Warszawianek, co to łażą Bóg wie z kim i kiedy.

— O, tak! one nie są takie, — potwierdziła z przyjemnością ciotka, — niechże pan siada, zaraz zawołam dziewczęta.

— Niech się pani dobrodziejka nie fatyguje, przyjdą same, słyszały przecież dzwonek, a mam kilka słów do pogadania z panią.

— Słucham pana.

— Chciałbym spytać, czy ten wiercipięta bywa jeszcze u państwa?

— Kto taki? — spytała dyplomatycznie, — u nas, o ile wiem, żaden taki nie bywa.

— Niech pani nie udaje, — rozparł się w fotelu i zapalił cygaro, — mówiłem o Czajkowskim... otóż pytam, czy on bywa tu?

— Przychodzi od czasu do czasu.

— Pozwolę sobie tedy zwrócić uwagę pani, że jego wizyty są zbyteczne i wprost kompromitują dom państwa, a tem samem i panny.

W tej chwili weszły dziewczęta, a gdy usiadły po przywitaniu, spytała Stasia:

— Jaką to ważną konferencyę macie tu państwo? bo słyszałam wchodząc, że pan mówił o nas.

— Ja nie należę do ludzi, którzy swe zdanie ukrywają. Samemu naczelnikowi powiedziałem onegdaj, że zawiele mam pracy, a jeśli prawdę w oczy powiedziałem naczelnikowi, to nie ukryję jej przed ludźmi, — spojrzał na panny z dumną pewnością siebie.

— Pan oficyał znany jest ze szlachetności swego charakteru, — pochwaliła ciotka.

— Otóż, wracając do rzeczy, — patrzał na Manię, — mówiłem z panią dobrodziejką o nietaktownych wizytach pewnych panów.

— Jakich, panie oficyale? — spytała Stasia, — czy wolno wiedzieć?

— Nigdy nie ukrywam się z mojem przekonaniem, — odparł z godnością. — Miałem na myśli tego szlifibruka warszawskiego, który wkręcił się do państwa i nazywa się Czajkowski.

Mania zmieniła kolor twarzy, ale uśmiech przyjemny pozostał i rzekła łagodnie:

— Trochę za surowo sądzi go pan oficyał, i on ma pewne zalety...

— Które w niczem a w niczem nie przeważają jego ujemnych stron i błędów, — przerwał jej Butrinek, — naco mam dowody w razie potrzeby.

— Mówi pan o nim jak o zbrodniarzu, — zaśmiała się Stasia, — a dla mnie jest to przyjemny i grzeczny młody człowiek.

Butrinek spojrzał na nią zgorszony i rzekł dość surowo:

— Pani jest jeszcze młoda, nie zna świata, i sądu pani nie można brać pod uwagę.

— Udowodnij pan, — zaśmiała się.

— Dobrze, proszę pani, ja się nigdy nie cofam. Zatem po pierwsze: jestto Królewiak, a co więcej, Warszawiak, zatem urodzony blagier i kłamca. Po drugie: przyjechał tu wypędzony przez rząd, co dowodzi, że nawet tam, wśród takiej anarchii i rozluźnienia obyczajów, stał się niemożliwym. Czy panie uznają racyę mych słów?

— No... tak... do pewnego stopnia... — mówiła niepewnym głosem ciotka, — ale znów wszystkich potępiać nie można, mogą się przecież znaleźć wyjątki nawet wśród nich.

— Hm... wyjątki?.. — przypuszczać wolno, ale na poparcie niema faktów.

— Panie oficyale, to są ogólniki, — rzekła Stasia, — ale co ma pan do zarzucenia panu Romanowi?

— Nawet nie wiedziałem, że nosi takie imię, — uśmiechnął się wzgardliwie, — a co mam do zarzucenia, zaraz powiem. Jestto człowiek, który dziś ma co włożyć do garnka, a jutro szuka pożyczki albo głoduj. Ktoby go widział wystrojonego, biegnącego z kwiatami i cukierkami, myślałby, że Bóg wie, jaki to dobrze sytuowany człowiek, a to hołysz, blagier, żydowski pachołek, bez stanowiska, bez stałej pensyi i emerytury... a teraz przystępuję do najważniejszej rzeczy.

Wszystkie trzy niewiasty zdradzały wielkie zaciekawienie, a ciotka zachęcała Butrinka:

— Pan ma rzadki dar wymowy, aż miło posłuchać. Cóż dalej?

— Jego charakter już określiłem, a teraz przechodzę do stosunków rodzinnych. Nieustannie chwalił się on swym jakoby wujem, panem radcą Terlikowskim, zasłaniał nim swoje wady i niedostatki i wylazło szydło z worka. Pan radca zrozumiał grę i odsunął się od niego i jego rodziny najzupełniej. Państwo radcostwo zerwali z nimi stosunki, przestali bywać i zapraszać do siebie, i jak mi mówili naoczni świadkowie, przy spotkaniu na ulicy ledwie raczą skinąć głową na uniżone ich ukłony. Jeśli rodzina zerwała z nimi, musiała mieć bardzo ważne powody i to jest wskazówką, jak inni, szanujący siebie ludzie, mają się zachować względem nich. Czy nie tak, moje panie?

— No, zapewne, — powiedziała Stasia, — mogłaby być w tem pewna racya, o ile te gadania są prawdziwe.

— Stasiu! — upomniała ciotka, — jak ty mówisz?

Butrinek drgnął, spojrzał na Stasię ze zdumioną grozą, wyprostował się w fotelu i zaczął uroczystym głosem:

— Najpierw muszę poinformować pannę Stanisławę, że to, co ja mówię, nie nazywa się: gadanie; że ja nigdy plotek nie robię i nie powtarzam, tylko prawda u mnie grunt. Powiedziałem, że pan radca i jego dom godny zerwał z tymi przybłędami, to już musi być prawda.

— Niechże pan oficyał daruje, ona ma ten zwyczaj, że powie coś ni w pięć ni w dziewięć, a potem tego sama żałuje.

— I ja pani dobrodziejko, jestem wyrozumiały dla młodości, ale to było trochę za ostro, — pokręcił głową Butrinek. — Wracając do rzeczy, nikt w Krakowie nie dziwi się temu zerwaniu, bo jeśli on stał się niemożliwy w naszych towarzystwach, to jego godna siostrzyczka jest tego rodzaju, że trudno słów znaleźć na określenie jej zachowania się.

— Co pan oficyał mówi? — zawołała z żywością ciotka. — Myśmy coś słyszały, ale tak sobie, ogólnie, a teraz widzę, że są tam poważne rzeczy.

— O, tak! i ciężko mi o tem mówić, — westchnął Butrinek i spojrzał na dziewczęta.

— A możeby panienki wyszły? — zaproponowała ciotka z pospiechem, — to takie niewinne stworzenia, nie mają pojęcia o zepsuciu.

— Na tyle ja mam taktu, ażeby utrzymać się taktownie, a swoją drogą nauka nigdy nie zawadzi.

— O, znam pana oficyała... słuchamy.

— Pomijam już, — zaczął głosem żałosnym Butrinek, — że ona jako Warszawianka jest kokietka, ale nawet kokieterya powinna mieć pewne, że tak powiem, umiarkowanie i granice. Tymczasem, siostra tego pana starała się usidlić człowieka poważnego, ze stanowiskiem, z wysoką rangą... — zrobił dłuższą pauzę i dodał posępnie: — a nawet... żonatego.

Ciotka spojrzała szybko na panny, które słuchały z naiwnemi minami tego opowiadania, i westchnęła głęboko:

— To okropne! Jak może panna spokrewniona z rodziną...

— Wstrzymaj się pani, to nie koniec. Wprost wierzyć się nie chce, do czego dochodzi demoralizacya tych przybyszów.

— Jakto? nie koniec jeszcze? — zawołała ciotka zaciekawiona. — Cóż może być więcej? Nie mogę się domyślić.

— A jednak jest coś bardziej oburzającego. Ofiarą jej kokieteryi miał być nie kto inny, tylko jej wuj! — czekał oznak zgrozy i oburzenia.

— Miała też kogo sobie wybrać, — odezwała się Stasia z lekceważącą miną, — stary, łysy, gruby i bez majątku.

— Nie w tem rzecz, jakim wydaje się pani pan radca Terlikowski, ale oburzający jest sam fakt, że ona nie wahała się swego wuja sprowadzić z drogi honoru i cnoty.

— Tak jest, pan oficyał ma racyę, — skinęła głową ciotka, — to okropne! No i co się stało?

— W sam czas spostrzegła to pani radczyni, no i pan radca zrozumiał jej przewrotność i to było najważniejszą przyczyną zerwania.

— Ja to rozumiem i wymagałabym taką dziewczynę! przepędziłabym na cztery wiatry! Żonatego człowieka, wuja bałamucić! To niegodne! To niesłychane! I mówi pan oficyał, że były jeszcze inne przyczyny? — spytała gorączkowo.

— Tak jest. Ona widząc, że z panem radcą nie idzie jej tak gładko, skokietowała adjunkta Maryewskiego.

— Czy to ten ze sądu? — spytała Mania.

— Tak jest. A pani go zna?

— Spotkałam go na balu; taki szczupły szatyn, z twarzą chorowitą.

— Chciałbym ja mieć taką, — zaśmiał się Butrinek, — i jego majątek. On napewno zostanie radcą sądu i ma ładną kamienicę przy Floryańskiej ulicy.

— To wiemy, — przerwała mu zniecierpliwiona ciotka, — ale co zrobiła z nim ta kokietka?

— Tak manewrowała, że człowieka z taką pozycyą i majątkiem przyciągnęła i on gotów był z nią się ożenić, i może byłby się ożenił, gdyby w ostatniej chwili się nie cofnął, poznawszy ją bliżej. Jako człowiek z pozycyą, zażądał, ażeby porzuciła ten głupi uniwersytet i nie włóczyła się z młokosami.

— A ona co na to? — zawołała Stasia.

— Ona, zadufana w swoją kokieteryę, zaczęła się targować o czas i warunki.

— Jakie warunki? — spytała Mania.

— Jak mówią, żądała, aby jej zapisał pół kamienicy, dopiero on pomiarkował się i porzucił.

— Bardzo dobrze zrobił, — pochwaliła ciotka, — całe jego szczęście, że się w czas spostrzegł. Czy to już wszystko, co pan oficyał wie o niej? bo my słyszałyśmy także coś o niej, — spojrzała nie bez dumnego zadowolenia na Butrinka.

— Czy może o Lenckim? — uśmiechnął się lekceważąco, — o nim i o niej, to wróble na dachach ćwierkają, i ja tak oklepanych rzeczy nie powtarzam. Ja wiem coś lepszego...

— I ja wiem, — przerwała ciotka, — pewno o szpitalu, co?

— Jest w tem i szpital, ale jako jeden ze szczegółów, i pani nie może wiedzieć tego, co ja. Mam wiadomości ze źródła bezpośredniego.

— Któż panu mówił? od kogo pan wie? — zaniepokoiła się ciotka.

— Najpierw od ich sąsiada, adjunkta Maryewskiego, który zwierzył się z tem swemu przyjacielowi, a ten powiedział mi to pod sekretem. Następnie, moja służąca przyjaźni się z ich służącą, a to potwierdził stróż w ich kamienicy, który przyszedł do mnie w sprawie podatków.

— No, tak, — spuściła z tonu pewności ciotka, — pan oficyał ma lepsze źródła. I co to było?

— Ta jego siostra znała się z tym robotnikiem jeszcze w Warszawie, i gdy on uciekł z kryminału do Krakowa, naturalnie wyszukał tę pannę, a ona zaraz ubrała go od stóp do głowy, nakarmiła, napoiła i dała mu znaczne pieniądze.

— A pieniądze skąd ona wzięła? — zdziwiła się ciotka.

— O tem nie mówi się w porządnem towarzystwie, — spuścił skromnie oczy.

— Aha, rozumiem, — westchnęła ciotka.

— Dość, że dała, ale ten gagatek zachorował. Panna w płacz, rozpacza, ale trudno było wziąć go do mieszkania, na to nie mieli nawet oni odwagi.

— Proszę pana, pan widział tego robotnika? — zawołała Stasia, — jaki on?

— Ależ proszę pani, — oburzył się, — jakie pani ma o mnie wyobrażenie? Ja mam się znać z jakimś robotnikiem? — wzruszył ramionami, — słyszałem tylko, że jest młody, przystojny brunet. Tego to robotnika umieściła ona przez protekcyę w szpitalu. I dopiero okazywanie różnych czułości. Codziennie z wizytą u niego. I zawsze paczki z cukrami, ciastami, owocami...

— Głupia! — oburzyła się ciotka, — czy taki cham zna się na takich delikatnych rzeczach? Jemu kiełbasy, wódki, chleba... ale przepraszam, że przerwałam. Co dalej?

— Słyszałem, że cała sala chorych była tem oburzona, skarżyli się doktorowi, ale dopiero siostra przełożona usunęła to zgorszenie i panną wypędzono ze szpitala.

— Boże, Boże! jaka to demoralizacya! — jęczała ciotka. — A gdzie wstyd, gdzie godność? I to krewna radcy! Koniec świata! Prawdziwa Sodoma i Gomora. Panna z robotnikiem! No, no!

— A teraz pani dobrodziejka rozumie, — mówił Butrinek z godnością, — że znajomość z takim panem, jak Czajkowski kompromituje, i jako przyjaciel domu państwa przyszedłem was ostrzedz. I zrozumie pani dobrodziejka, że ja, jako urzędnik, nie mogę przebywać w towarzystwie takiego pana.

— To wszystko zależy od mego brata, ja pod tym względem nic decydować nie mogę.

— Ja to wiem, i dlatego żałowałem, że nie zastałem pana Filarka, z którym chciałem się też rozmówić w innej sprawie, — spojrzał na Manię, — bo od dziś za tydzień upływa rok i sześć tygodni od śmierci mojej nieboszczki żony. Dałem już egzekwie do kościoła ojców Kapucynów, gdyż tam braliśmy ślub.

— Jakże to dobrze świadczy o panu, — rozczulała się ciotka, — pamięć o zmarłych świadczy o szlachetności.

— Ja też pamiętam zawsze o zmarłych. A w tej sprawie wizyt, co postanowiła pani dobrodziejka? czy pomówi z bratem?

— Nie rozumiem tego dobrze, — odezwała się Stasia, — dlaczego pan oficyał tak rozporządza wizytami pana Romana? Pan może przychodzić w inne



— Jakto? nie koniec jeszcze? — zawołała ciotka zaciekawiona.

dni, aniżeli pan Roman i nie potrzebujecie się panowie spotykać.

— Ale już sama myśl, że taki człowiek bywa razem ze mną, w tym samym domu, denerwuje mnie, a ja cierpię na nerwy.

— Czy pan oficyał bywa u Hawełki? — spytała z niewinną miną Stasia.

— Tak jest, tam zbiera się moje towarzystwo.

— Wiem, że do Hawełki chodzi na piwo Czajkowski, i to nie denerwuje pana? — zaśmiała się.

— Idź Stasiu, zobacz, czy kolacya gotowa, — rozporządziła ciotka.

— Siostra pani jest złośliwa, — zwrócił się Butrinek do Mani.

— A tak, lubi żartować.

— Dlaczego pani milczała przez cały czas? czy tak przykrą była prawda o tym szlifibruku?

— Przyznam się panu, że zaledwie słyszałam, co pan mówił, i są to rzeczy dla mnie obojętne i niezrozumiałe.

— A o czem pani myślała?

— O różnych pięknych rzeczach, — uśmiechnęła się, jak cudne są irysy, jak ślicznie pachną róże...

— To poetka, panie oficyale, — zachwycała się ciotka, — ona śni na jawie.

— To bardzo pięknie, — pochylił głowę, — ale gdy mówię o tak poważnych rzeczach, to znów co innego.

— Kolacya gotowa! — zawołała Stasia.

W chwili, gdy przechodzili przez przedpokój zadzwoniono i do mieszkania wpadła pani Stokłosowa. Ucałowała dziewczęta i panią Urszulę, a Butrinkowi podała rękę z widocznym chłodem.

Naturalnie przy kolacyi pierwsza Stokłosowa wszczęła rozmowę o Romanie, gdyż tylko w tym celu przyszła. Butrinek nie oskarżał tak ostro Czajkowskiego w jej obecności, a Stokłosowa umiała bardzo zręcznie odeprzeć stawiane zarzuty.

Butrinek postanowił wytoczyć swe wielkie działo o zerwaniu stosunków radcostwa z Czajkowskimi.

— W rodzinie różnie bywa, mówiła Stokłosowa, — ja sama mam krewnych, z którymi nie żyję i każdy z nas przeżył coś podobnego. Zdaje się, że tu główną rolę odegrała zazdrość radczyni z powodu powodzenia panny Ireny, siostry pana Romana.

— Już niech tylko pani nie wspomina o tej pannie, — ostrzegał Butrinek, — to nie wypada.

Na usilne nalegania opowiedział Butrinek Stokłosowej wszystkie wieści krążące o Irenie, a więc o wuju, Maryewskim, doktorze i robotniku, powołując się na swą powagę jako urzędnika i człowieka honorowego, i ręcząc za prawdę.

— Daruje pan, — zaczęła Stokłosowa, — że niebardzo wierzę w te szczegóły skandaliczne...

— Ależ droga pani, — przerwała jej ciotka, — niechby tylko połowa była prawdą, a nawet trzecia część, to jest już stracona dziewczyna.

— Wszystko jest prawdą! — zawołał Butrinek, — i stosunki z rodziną, która posiada taki egzemplarz na pokaz, przynoszą ujmę, plamią honor, jednem słowem są niemożliwe. To jest moje zdanie i wszystkich uczciwych ludzi.

Stokłosowa spojrzała wesoło na milczące dziewczęta i z uśmiechem złośliwym zwróciła się do Butrinka:

— Pan jest zbyt surowy, nie można tak potępiać.

— Ja jestem tylko sprawiedliwy.

— Lepiej przestańmy o tem mówić, — prosiła z udaną łagodnością Stokłosowa, bo to sprawa drażliwa.

— Gdzie idzie o honor, drażliwość ustaje, — zawyrokował Butrinek.

Wśród chwilowego milczenia spytała Stokłosowa:

— Panie Butrinek, a zna pan Żywiec?

— Pani mówi o mieście? o Saybuschu?

— Tak go Niemcy nazwali, ale my mówimy: Żywiec. Zna go pan?

— Bardzo dobrze. Dla czego pani pyta?

— Spotkałam tam imiennika pana, zdaje się nawet krewnego, Wenzla Butrinka, o ile pamiętam.

Butrinek zmieszał się i patrzał na Stokłosowę wielkiemi, osłupiałemi oczyma, bełkocząc:

— Pani go zna? pani wie?

— Znać go nie mogłam, — uśmiechnęła się, — bo był już niewidzialny... i widzi pan, jak to źle być tak surowym. W różnych rodzinach różnie się zdarza.

— Ale ja go się wyrzekłem, ja go nie znam, nie chcę znać.

— Mimo tego on pozostanie rodzonym bratem pana... i nie można odsądzać od czci i wiary pana Romana za to, że ma siostrę, o której złe języki roznoszą plotki.

— Ja mówiłem prawdę, — upierał się Butrinek.

— Pan ma jedną prawdę, — zaśmiała się, — a ja mam drugą, i dodam, że znany panu pan Marski wyraża się o niej bardzo dobrze.

— Niech i tak będzie, ja zostaję przy swojem i to podtrzymuję, co powiedziałem.

W jakiś czas potem Butrinek pożegnał się, prosząc panią Urszulę, ażeby uwiadomiła brata, że czeka go jutro u siebie, o godzinie piątej.

Po jego wyjściu Stokłosowa poszła z Manią do jej pokoju, a gdy usiadły na kozetce mówiła serdecznie:

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przed kongresem esperantystów w Krakowie.

Za kilka dni Kraków powita w swych murach licznych gości, którzy pospieszą doń istotnie ze



Przed kongresem esperantystów w Krakowie: Prof. dr. Odo Bujwid, prezes honorowy komitetu kongresu

wszystkich stron świata. Obradować bowiem będzie ósmy kongres wszechświatowy esperantystów, na który przybędą wysłannicy klubów esperackich z całego świata.

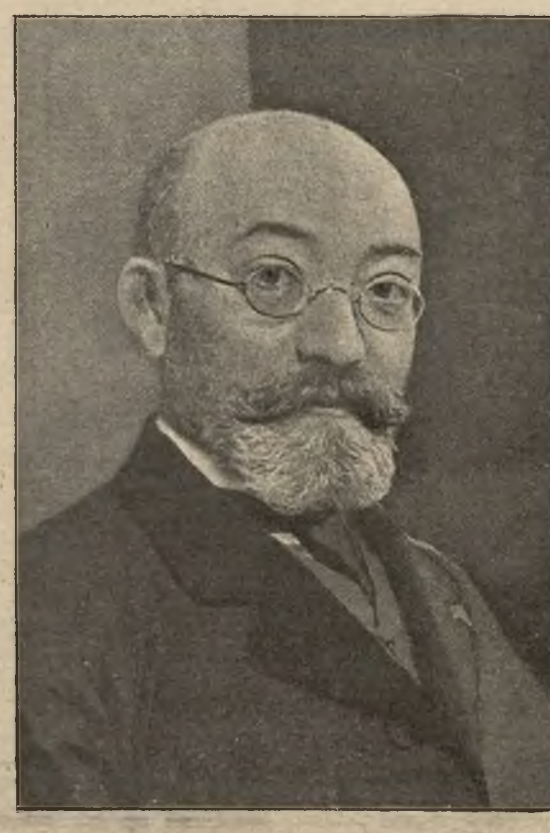
„Esperanto“ jako język międzynarodowy zyskał już dzisiaj powszechne uznanie. Od dawna starano się znaleźć taki sposób łatwego porozumiewania się narodów różnych między sobą, próby te jednak były bardzo nieudałe, aż dopiero język, skonstruowany przez Polaka, dra Zamenhofa z Warszawy, potrafił zdobyć sobie ogólno-światowe prawo obywatelstwa.

Po raz pierwszy wystąpił on z swoim językiem w roku 1887, publikując pierwszą książkę pod pseudonimem „Dr. Esperanto“. Ogłoszona ona została w wydaniu rosyjskiem, a potem polskiem. Ruch esperancki zaczął rozwijać się najpierw w Polsce i Rosyi. W Polsce działali: Grabowski, Zakrzewski, Wiśniewski, w Rosyi Kofman (tłómacz Iliady), Gernet (redaktor „Esperantisto“) z Odessy, Zinowiew i Ostrowski. W Niemczech rozpoczął agitacyę Einstein, który założył pierwszy klub esperantystów w Norymberdze. Do roku 1898 jednak więcej teoretyzowano nad formą języka, niżeli go na zewnątrz propagowano.

Propagacyjny charakter przybrał ruch esperancki dopiero od założenia we Francyi przez L. de Beaufronta towarzystwa agitacyjnego. Ostatecznie zaś zorganizował się ten ruch międzynarodowy po I szym kongresie, który obradował w r. 1905.

W Krakowie ruch esperancki zaczął się po pierwszym kongresie. Zamknięte grono esperantystów zaczęło się tak rozszerzać, iż dziś stanowi ono liczną i silną organizacyę. Po 25 latach istnienia nowego języka ósmy kongres postanowiono urządzić w Polsce, na której ziemiach powstał język Esperanto, a za miejsce zjazdu wybrano Kraków.

Program kongresu jest bardzo obfity, a przygotowaniami na gruncie krakowskim zajął się specyalny komitet, który już od kilku miesięcy pracuje. Bardzo energicznie w pracach przygotowawczych po-



Przed kongresem esperantystów w Krakowie: Prof. Dr. L. Zamenhof, twórca języka „Esperanto“.

maga krakowski oddział akademicki, który wziął na swe barki najtrudniejsze czynności w czasie kongresu.

W program uroczystości, które będą tem większe, iż obchodzonym będzie 25 letni jubileusz istnienia nowego języka, wchodzi szereg zebrań, zabaw i przedstawień uroczystych.

Kongres rozpocznie 10 b. m. W dniu tym otwartą zostanie wystawa esperancka w Izbie handlowej. 11 b. m. odbędzie się inauguracya kongresu w Starym Teatrze. Poczem przez szereg dni toczyć się będą obrady, urozmaicone wycieczką do Wieliczki, przedstawieniami w teatrze, balem międzynarodowym i t. p.



Przed kongresem esperantystów w Krakowie: Dr. Leon Rosenstock, generalny sekretarz i organizator kongresu.

Zamknięcie kongresu nastąpi w sobotę 17 b. m.

Dotychczas zgłosiło swój przyjazd do Krakowa kilka tysięcy osób, między nimi szereg wybitnych osobistości prawie z wszystkich państw Europy i Ameryki. Mają przybyć także esperantyści z Chin i Japonii.

Tak więc na kongres w Krakowie zbiorą się wszystkie niemal ludy świata. To też przygotowania do przyjęcia tylu gości są czynione na wielką skalę. Zapomocą kursów Esperanta wykształcono służbę w hotelach i restauracyach, oraz część policyi, aby mogła udzielać informacyi przybyłym. Także bardzo liczne zastępy Krakowian przyswoiły sobie nowy język, aby módz godnie ze staropolską gościnnością powitać tak niezwykłych gości.

Illustracye nasze przedstawiają kierowników komitetów, którzy przygotowują obrady kongresu oraz twórcę języka i jubilata, dra Zamenhofa.



Przed kongresem esperantystow w Krakowie: Wydział akademickiego Związku esperantystów w Krakowie. W środku siedzi prezes Jul. Kriss, (X) obok na prawo sekretarz Zenon Klemensiewicz.



Przed kongresem esperantystów w Krakowie: Dr. Szczepan Mikołajski ze Lwowa, przewodniczący komitetu lwowskiego.



Sport wioślarski na prowincyi: Nowo otwarta przystań Tow. wioślarskiego w Nowym Sączu.

Sport wioślarski na prowincyi.

Wśród wielu sportów, które podnoszą rozwój fizyczny i stanowią miłą rozrywkę, niepoślednie miejsce zajmuje sport wioślarski. We wszystkich miastach, koło których przypływają większe rzeki, liczy on setki zwolenników, którzy zorganizowani w stowarzyszenia, uprawiają go metodycznie i z zamiłowaniem.

Znane i cenione jest stare Tow. wioślarskie w Warszawie, bardzo energicznie pracują Tow. wioślarskie sokole i akademickie w Krakowie. Sport ten także i na prowincyi znajduje chętnych zwolenników.

Między innymi w ostatnich czasach powstało Tow. wioślarskie w Nowym Sączu, gdzie przepływający pod miastem Dunajec doskonale nadaje się do tego miłego sportu. Ze założenie tego Towarzystwa w Nowym Sączu było potrzebne, świadczy fakt, iż zaraz po założeniu zgłosiło się do niego 94 członków z pośród miejscowej inteligencyi.

Aby swym członkom zapewnić używanie w całej pełni miłej rozrywki, Towarzystwo postarało się o urządzenie własnej przystani i zaopatrzyło ją w kilka doskonałych łodzi. Z przejażdżek łodziami oprócz członków korzystać mogą i nieczłonkowie, aby w ten sposób podnieść zamiłowanie do tego zdrowego sportu.

Otwarcie przystani nastąpiło przed kilku dniami, a illustracya nasza przedstawia nową przystań, oraz członków Towarzystwa, przygotowujących się do pierwszej wycieczki.

Zgon znakomitego lekarza Polaka.

Z grona wybitnych Polaków, których sława naukowa rozeszła się szeroko po świecie, zabrała nieubłagana śmierć znowu jednego, który zajmował jako lekarz pierwszorzędne stanowisko w świecie naukowym. W Wiedniu zmarł przed kilku dniami znany internista, prof. Edmund Neusser.

Urodzony 1 grudnia 1852 r. w Swoszowicach pod Krakowem, szkoły średnie kończył w Krakowie i tu także rozpoczął swe studya medyczne. W roku 1884 udał się celem dopełnienia studyów do Wiednia, gdzie promował się i rozpoczął praktykę lekarską w szpitalu powszechnym.

W r. 1888 habilitował się na uniwersytecie wiedeńskim, a następnie udał się do Sofii, gdzie był lekarzem nadwornym księcia bułgarskiego.

Po pewnym czasie powrócił do Wiednia i tu



Zgon znakomitego lekarza Polaka: Ś. p. prof. Dr. Edmund Neusser.

rozpoczął już na dobre karyerę, prowadzącą go do sławy lekarskiej. Ze stanowiska prymaryusza w szpitalu Rudolfa przeszedł na katedrę uniwersytecką po śmierci prof. Kahlera. I na tem stanowisku pozyskał sobie największą sławę. Znakomity dyagnostyk, uchodził za najlepszego ucznia prof. Bamberga.

Przed kilkunastu laty usunął się w zacisze do-



Nauczycielski kurs przemysłowo-kupiecki we Lwowie: Nauczyciele szkół przemysłowych, którzy brali udział w kursie, wraz z gronem profesorskiem.
(Fot. „Rembrandt", Lwów).

mowe i zamieszkał w miejscowości Puchberg, gdzie posiadał własną willę. Obok wiedzy lekarskiej był zmarły profesor zamiłowanym muzykiem. W r. 1892 ożenił się też, biorąc żonę ze świata artystycznego, śpiewaczkę opery wiedeńskiej, Paulinę Mark. Pod koniec życia przeniósł się prof. Neusser do Fischau, gdzie mieszkał w zamku arcyksięcia Rainera.

Znakomita jego wiedza fachowa wysunęła go na czoło powag lekarskich wiedeńskich. Kilkakrotnie też wzywany był do łoża chorego cesarza austryackiego, a także w rodzinie cesarskiej leczył wielu pacyentów.

W ubiegłym roku zachorował dr. Neusser ciężko na raka nerek. Wobec grożącego niebezpieczeństwa wycięto mu jedną nerkę. Stan chorego chwilowo się polepszył, następnie jednak przyszło pogorszenie i choroba przybrała śmiertelny przebieg. Przed kilku dniami chory stracił przytomność, a wezwany lekarz dr. Feder nie potrafił już utrzymać go przy życiu.

Nauka straciła w prof. Neusserze poważnego pracownika. Olbrzymia praktyka lekarska dostarczyła zmarłemu bogatego materyału naukowego, który pozostawił po sobie w formie licznych prac naukowych i cennych notatek.

Jako profesor cieszył się dr. Neusser wielką sympatyą wśród uczniów, gdyż był bardzo sumiennym i sprawiedliwym egzaminatorem.

Illustracya nasza przedstawia portret zmarłego uczonego.



Dla młodego pokolenia: Grupa terminatorów, członków „Polsk. Związku katol. uczniów rękodzielniczych" uczęszczających na zabawy do parku gier.



Dla młodego pokolenia: Cwiczenia gimnastyczne na boisku „Polskiego Związku katol. uczniów rękodzielniczych" w Krakowie.

Nauczycielski kurs przemysłowo-kupiecki we Lwowie.

Wykształcenie naszego kupiectwa w kierunku pracy zawodowej stanowić musi jedną z ciągłych trosk społeczeństwa. To też szkoły przemysłowe i handlowe, które coraz lepiej w naszym kraju się rozwijają, są otaczane przez państwo i kraj należytą opieką. One bowiem przygotowują nam młode pokolenia na dzielnych pracowników.

Z rozrostem i rozwojem tych szkół wzrosło także zapotrzebowanie dobrych, fachowych sił nauczycielskich. Fakt ten skłonił austryackie ministerstwo robót publicznych do wydania w r. 1908 rozporządzenia w sprawie pomnożenia kursów, mających na celu dalsze kształcenie nauczycieli dla tych szkół. Na tej podstawie odbywają się co roku kursa dla różnych przedmiotów naukowych we Wiedniu, Pradze, Bernie, Krakowie, Libercu, Pilźnie, Lwowie. W lipcu br. odbył się we Lwowie w państwowej



40 lat walki z ogniem: Członkowie ochotniczej straży ogniowej w Jaworowie podczas uroczystości jubileuszowej. W środku siedzą: 1. starosta p. Miecz. Tabeau, 2. burmistrz p. Stan. Lachowicz, 3. naczelnik straży p. Jerzy Pytlik, 4. sekretarz straży p. Wład. Kaczurka.



Poświęcenie sokolni w Bełzcu: Zebrane tłumy słuchają kazania ks. biskupa Bandurskiego. (Fot. M. Münz, Lwów).

szkole przemysłowej kurs dla przedmiotów przemysłowo-kupieckich. Wzięło w nim udział 40 uczestników z Galicyi i ze Śląska. Nauka obejmowała: rachunki przemysłowe, stylistykę przemysłową, wiadomości o handlu i wekslach, wiadomości ustawowe oraz buchalteryę i kalkulacyę przemysłową. Kierownictwo kursu spoczywało w rękach radcy Kłapkowskiego, dyrektora c. k. państwowej szkoły przemysłowej, a nauki udzielali profesorowie państwowej Akademii Handlowej we Lwowie, p. p.: Mieczysław Christoff i Tadeusz Kistrin. Kurs odwiedzili wiceprezydent Rady szkol. kraj. dr. Dembowski i delegat ministerstwa robót publicznych radca Bily, a w zakończeniu kursu wziął udział także p. Wojtów, inspektor szkół przem. uzup. Wszyscy uczestnicy poddali się na końcu kursu egzaminowi — a połowa uczestników uzyskała świadectwa z wynikiem celującym.

40 lat walki z ogniem.

Wśród klęsk, które zazwyczaj najciężej dotykają ludzkość, jedno z pierwszych miejsc zajmują pożary. Co roku setki domów włościańskich padają ich ofiarą, a niejedna rodzina przypłaca to nędzą.

To też dzisiaj każde prawie miasto, niemal każda wieś ma już własną straż ogniową, która w razie wybuchu ognia staje do walki z nim.

Przed kilkunastu dniami straż ogniowa w Jaworowie, niegdyś siedzibie króla Jana III. Sobieskiego, obchodziła zaszczytny jubileusz 40 lat swego istnienia.

Przy licznym współudziale miejscowej inteligencyi, publiczności i zamiejscowych gości, jakoteż straży z miasteczek: Niemirowa, Sądowej Wiszni, Krakowca i Janowa, ze sztandarami na to święto przybyłych, rozpoczęto uroczystość nabożeństwami w świątyniach katolickiej i ruskiej, a przy niezwykle uroczystym nastroju miejscowy proboszcz i kanonik, ks. Julian Turzański, wygłosił okolicznościowe kazanie, w którem podniósł zbożną pracę Towarzystwa dla dobra miasta i jego mieszkańców, zachęcając do grupowania się w niem pod hasłem niesienia pomocy bliźniemu w nagłej potrzebie. Po nabożeństwie odbyło się w ogrodzie miejskim uroczyste wręczenie medali pamiątkowych zasłużonym członkom straży, przyczem miejscowy starosta, p. Tabeau, w pięknych słowach przemówił do zasłużonej drużyny.

Dla młodego pokolenia.

Wychowanie młodzieży rzemieślniczej i robotniczej, wytworzenie sprzyjających warunków dla jej duchowego i fizycznego rozwoju, jest niezaprzeczenie najskuteczniejszą, najbardziej piekącą i owocną ze wszystkich prac dla przyszłości społeczeństwa i podniesienia przemysłu polskiego.

Dzisiejsze opłakane warunki, w jakich przeważna część młodzieży rękodzielniczej się wychowuje, często zatruwają młodą duszę, a co gorsza zniechęcają do życia i znojnej pracy w obranym zawodzie. Zapobiedz złemu, zadość uczynić poczuciu sprawiedliwości i ludzkości, podjęła się Rada opiekuńcza zorganizowana przy „Polskim Związku katolickich uczniów rękodzielniczych".

Usiłowania swoje skierowała ona przedewszystkiem w tym kierunku, aby młodzieży zapewnić możność zdrowej i wesołej rozrywki po pracy.

Dzięki usilnym staraniom otrzymała Rada w ub. roku od miasta Krakowa obszerny plac na park dla zabaw ruchowych na Błoniach.

Zaraz też wzięto się energicznie do urządzenia i uporządkowania placu. Wystawiono pawilon z dziewięcioma szatniami i otoczono cały plac siatką drucianą, do której umocowania 200 słupów ofiarowała hr. Andrzejowa Potocka. Prócz tego wystawiono dwa krążniki, postarano się o kilka przyrządów gimnastycznych i w ten sposób urządzony plac uroczyście otwarto dnia 25 czerwca ub. roku.

W tym parku zabawy ruchowe i ćwiczenia gimnastyczne odbywają się w każdą niedziele i święta, pod kierunkiem wyszkolonych nauczycieli.

Pod kierownictwem p. Stan. Ryszewskiego dyrektora Parku posadzono wokoło krzewy, z których pewną część przysłała księżna Sanguszkowa z Gumnisk.

Illustracye nasze przedstawiają zabawy młodzieży w parku, oraz grupę członków „Polsk. Związku Katol. uczniów rękodzielniczych" w Krakowie.



Cwierć wieku po maturze: Uczestnicy jubileuszowego zjazdu b. maturzystów gimnazyum tarnowskiego. (Fot. Bednarski, Tarnów).

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

19) Tłum. z francuskiego.

— Jak chcesz, mój drogi — odparła Liana, wołając. — Jeżeli jutro nie będę miała na piśmie, uważasz — na piśmie — tej obietnicy, będę wiedziała, co mam uczynić.

Arogancka i majestatyczna skierowała się ku drzwiom. Vanesco nie miał siły zatrzymać jej.

ROZDZIAŁ IV.

Przygotowania.

Dźwięk trąbki i turkot automobilu, wstrząsający szybami pałacu, oznajmił o odjeździe Liany de Valoys. Vanesco przysłuchiwał się przez chwilę oddalającemu się turkotowi, poczem zerwał się gwałtownie i począł chodzić po gabinecie szybkiemi krokami. Czoło jego poprzecinała głęboka zmarszczka, świadcząca o wysilonem natężeniu myśli. Od czasu do czasu, zatrzymywał się, mrucząc przez zęby:

— Tak... gdyby to zależało jedynie od mojej woli... nie wahałbym się ani chwili... Ale środek?.. Jaki środek wybrać?.. Widzę tylko jeden: truciznę!

Chwila ciszy — potem znowu szept:

— Trucizna... Oto środek do osiągnięcia wolności... Dlaczego mam się wahać? Ale trzeba działać tak, by nie ściągnąć podejrzeń...

Zaczął zastanawiać się nad różnemi rodzajami trucizny.

— Trucizny mineralne? Niema co o nich myśleć... analiza wykryje je w najdrobniejszej dozie. Spojrzał machinalnie przez okno na ogród, pełen kwiatów.

— Trucizny roślinne? To jest subtelniejsze, ale również niebezpieczne. Występują po nich objawy, które nie ujdą oka najmniej wprawnego specyalisty. Nie, absolutnie nie można użyć ani trucizny mineralnej ani roślinnej. Więc jakiej?

Znowu zaczął chodzić, wytężając myśl nad wynalezieniem środka. W pewnej chwili spojrzał odruchowo na zegarek.

— Do licha! Czwarta godzina! Zapomniałem na śmierć, że muszę być w lecznicy. Doskonale — wymyślę coś po drodze.

Wyszedł z gabinetu i udał się na pierwsze piętro, żeby doprowadzić do porządku toaletę. Przechodząc koło pokoju swej żony, przyszła mu dziwna ochota zajść do niej.

Na szmer otwieranych drzwi, młoda kobieta odwróciła twarz. Doktor ujrzał jej oczy zaczerwienione od łez.

— Wciąż te płacze — rzekł szyderczo.

Zuzanna wyprostowała się z oburzeniem i drżącym z gniewu głosem rzekła:

— Przypuszczałam, że po wizycie, jaką pan przed chwilą odebrał, będzie pan miał przynajmniej tyle delikatności, żeby nie dokuczać mi swą obecnością.

— O jakiej wizycie pani mówi? — zapytał z udanem zdziwieniem.

— O! niech pan nie próbuje oszukiwać mnie. Widziałam, jak ta dziewczyna wchodziła do pana gabinetu i chcę jedno tylko dodać: jeżeli pan nie potrafi nakazać szacunku dla mnie, powinien pan przynajmniej szanować samego siebie. A teraz proszę wyjść.

I wskazała mu drzwi z taką stanowczością, że na chwilę zawahał się. Ale szybko odzyskał śmiałość i, nie ruszając się z miejsca, odpowiedział z szyderstwem:

— Pozwoli pani, że będę robił, co mi się podoba. Jestem tu u siebie — pani słyszy? — u siebie!

— Ta dziewczyna jest pańską kochanką!

— A więc tak — jest moją kochanką... Czy nie wolno mi jej przyjmować u siebie? Nie wchodzę w to, co pani robi, proszę więc nie mieszać się do moich spraw.

— Kiedy te brudne sprawy dotykają mnie, mam prawo mieszać się do nich...

Vanesco zacisnął pięści z taką wściekłością, że paznokcie wbiły mu się w ciało... Jakto! ta drobna cicha kobieta, którą uważał za zupełnie poskromioną, pozwala sobie otwarcie sprzeciwiać mu się? Wysiłkiem woli opanował gniew i odparł zjadliwie:

— Więc to ja panią oszukałem? Tak? Ładna sprawa!.. Kto z nas dwojga został oszukany w rzeczywistości? Kto nie dotrzymał zobowiązań? Jeżeli kto ma prawo robić wymówki, to już chyba tylko ja! Jeżeli jestem w tej chwili zrujnowany, to zawdzięczam to jedynie głupocie i nieuczciwości pani ojca...

— Zabraniam panu znieważać pamięć mego ojca, czy pan słyszy? Słyszy pan? — krzyknęła młoda kobieta, nie panując nad sobą, blada, jak płótno. Postąpiła parę kroków z oczyma groźnie błyszczącemi.

— Znieważać?.. — rzekł Vanesco z ironią. — Powiedziałem tylko prawdę... Niech się pani spyta tych tysięcy ludzi w Ameryce, których pani ojciec okradł i...

Nie dokończył. Zuzanna skoczyła do stołu, pochwyciła szpicrutę i uderzyła go nią z całej siły po twarzy.

— Nędznik!

Vanesco zapienił się ze złości, czując dojmujący ból. Podskoczył do młodej kobiety i uderzył ją w twarz z taką siłą, że padła ogłuszona na dywan.

— Brutal! Morderca!

Podniosła się i klęcząc wyrzuciła te słowa, wraz z krwią, która płynęła jej z ust. Energia opuściła ją i biedna kobieta poczęła gwałtownie płakać.

Vanesco z piekącą pręgą na policzku, wyszedł, trzaskając drzwiami.

— Poczekaj nędznico, zapłacisz mi za to!

W pięć minut później, zakleiwszy pręgę plasterkiem koloru cielistego, pędził w automobilu do lecznicy. Kołysany rytmicznym ruchem wozu — powrócił do swych poprzednich myśli. Mijając ulice, bulwary, zapełnione mnóstwem powozów, automobilistów, tramwajów, omnibusów i tłumem ludzi — nie zwracał uwagi na nic i na nikogo, zagłębiony w swych myślach, szukając zawzięcie potrzebnego mu środka. Nie mógł jednak nic wymyślić. Zmęczony i rozdrażniony, wyjął z kieszeni gazetę. Linie skakały mu przed oczyma, nie mógł czytać. Machinalnie odwrócił pierwszą stronę, i spojrzał z roztargnieniem na długie kolumny druku. Nagle drgnął i wydał okrzyk radości, jak ktoś, kto zdołał rozwiązać trudne zagadnienie.

Jeden z artykułów zatytułowany był wielkiemi literami:

„Gorączka tyfoidalna w Paryżu".

— Że też nie pomyślałem o tem!? — wykrzyknął Vanesco, przeczytawszy szybko artykuł. — To lepsze od każdej trucizny... Nie wzbudza żadnych podejrzeń i nie daje się odkryć przy pomocy analizy. Do licha! pomimo surowicy — zdarzają się jeszcze wypadki śmierci na gorączkę tyfoidalną... Ten biedny Chantereine tak ubóstwiał swą córkę... Profesor, znakomitość, a nie mógł jej uratować! Trudno walczyć z losem!

Roześmiał się nerwowo i urwał natychmiast. Automobil zatrzymał się przed lecznicą, której białe ściany wyglądały wesoło z pośród drzew. Portyer złożył głęboki ukłon.

— Czy Benedykt jest? — zapytał Vanesco.

— Tylko co wyszedł, proszę pana. Czy posłać po niego?

— Nie, nie trzeba... chcę być sam — dodał szeptem. Nieobecność pomocnika była mu na rękę. Zbadawszy chorą, do której przyjechał, jedną z tych, które płacą zbyt drogo, żeby je lekceważyć, — doktor udał się do swego laboratoryum, i zamknął starannie drzwi za sobą. Podszedł do wielkiej oszklonej szafy i wyjął z niej podłużną skrzynkę, na której widniał napis:

„Kultury bakteryj".

W skrzynce znajdował się szereg małych rurek, stojących w otworach poprzecznej deseczki. Vanesco przejrzał etykiety i znalazł to, czego szukał.

Była to epruwetka zamknięta kapslem i w trzech czwartych napełniona przeźroczystym bezbarwnym płynem. Ne etykiecie widniał napis: „Bakterye tyfusu". Lekarz podniósł rurkę do wysokości oczu i patrząc na przezroczysty płyn pod światło, mruknął:

— Można tem zabić pół Paryża.

Potem obwinął rurkę w watę — w obawie, żeby się nie stłukła i włożył ją ostrożnie do zewnętrznej kieszeni żakietu.

Następnie usiadł przy stole i napisał pośpiesznie kilkanaście linii drżącą ręką. Przyłożył bibułę, przeczytał i zaadresował list wielkiemi literami:

„Wielmożna Panna Liana de Valoys, skwer Lamartine nr. 2".

ROZDZIAŁ V.

Truciciel.

Gdy Vanesco wchodził do swego domu po powrocie z lecznicy, był zupełnie spokojny i twarz jego — prócz pręgi na policzku naturalnie, — nie zdradzała żadnych śladów przeżytych tego dnia wzruszeń.

Rozbierając się w przedpokoju, rzekł do lokaja:

— Zapytaj pani, czy zechce mnie przyjąć.

W parę chwil później pokojówka przyniosła odpowiedź:

— Pani bardzo przeprasza, ale jest cierpiąca i nie może przyjąć pana.

Vanesco nie okazał najmniejszego niezadowolenia i rzekł niezwykle uprzejmym tonem:

— Powiedz pani, żeby darowała mi natarczywość, ale muszę koniecznie widzieć się z nią natychmiast.

— Dobrze, proszę pana! — odparła pokojówka.

W dwie minuty później Vanesco wchodził do pokoju swej żony, którą zastał leżącą na szeslongu. Zuzanna wyglądała jak umierająca. Instynktownie zamknęła oczy, żeby nie widzieć człowieka, który ją tak straszliwie obraził. Była śmiertelnie blada i leżała bez ruchu.

Vanesco jednym rzutem oka rozejrzał się w sytuacyi i zrozumiał, że powinien udawać wzruszenie. Nadał więc swej twarzy odpowiedni wyraz, rzucił się na kolana przed żoną, pochwycił jej ręce i począł okrywać je pocałunkami.

— Zuzanno! Zuzanno!

Wyrwała mu ręce z bolesnym okrzykiem, prostując się na szeslongu. Oczy jej wyrażały gniew. Przesunęła dłonią po czole i rzekła słabym, rozbitym głosem:

— Chciał pan się widzieć ze mną? Co mi pan ma do powiedzenia? Zdaje mi się, że po tem, co zaszło — wszystko między nami powinno być skończone.

— Och! nie mów tak, Zuzanno! — zawołał z taką namiętnością i szczerością, iż poczęła zastanawiać się, czy nie mówi przez niego prawdziwe wzruszenie.

Kto wie? Serce ludzkie miewa tak dziwne odruchy. Na wyrazistej twarzy młodej kobiety odbiło się to wahanie. Vanesco był zanadto bystry, żeby nie dojrzeć tego, postanowił więc korzystać z wrażenia, jakie wywołał jego okrzyk.

— Proszę, błagam na wszystko, nie odtrącaj mnie, Zuzanno! Wysłuchał mnie! Wiem, że postąpiłem jak ostatni z ludzi, że postąpiłem podle, ale będę prosił, będę błagał przebaczenia dopóty, dopóki go nie otrzymam...

Poczuła ogarniające ją wzruszenie, które tamowało głos... Dała mu znak ręką, żeby powstał.

— Nie... — odparł patrząc na nią błagalnie oczyma pełnemi łez, — nie, nie ruszę się stąd, dopóki nie powiesz mi, że mi przebaczyłaś. Nie odejdę, nie usłyszawszy zapewnienia, że wspomnienie tej wstrętnej sceny zatarło się w twej pamięci...

Popatrzyła nań ze smutkiem.

— To niemożliwe? Nie możesz zapomnieć tego? Och! nie mów tak... nie odwracaj oczu... Zuziu!..

— Głos zaczął mu drżeć, łkania przerywały mu mowę. Zauważył łzy w jej oczach.

— Postąpiłem podle Zuziu, tak jest, ale nie moja w tem tylko wina... To ta kobieta... rozdrażniła mnie... Wszelkiemi sposobami stara się we mnie zabić miłość dla ciebie. Wie, że duma moja zraniona została nieszczęściem naszego ojca, którego pamięć czczę... Ach! gdybyś wiedziała, gdybyś mogła wiedzieć, co za podłość proponowała mi ta kobieta...

— Nie chcę nic wiedzieć, — odparła Zuzanna, blednąc na wspomnienie straszliwej rozmowy, jaką podsłuchała.

Ale wzmianka o tej rozmowie przekonała ją o szczerości męża. Sądziła, iż on sam ze wstrętem myśli o tem, co mu proponowała dawna jego kochanka, że chce się przed nią wyspowiadać ze wszystkiego. Przez delikatność jednak nie chciała słyszeć tych wyznań, podała mu więc tylko dłoń na znak zgody i pomogła wstać. Vanesco udawał ciągle zawstydzonego i skruszonego.

Po raz pierwszy od paru miesięcy, spędzili razem wieczór na przyjacielskiej pogawędce, którą Zuzanna była zachwycona. Gotowa była zapomnieć o wszystkiem; Vanesco był uprzejmy, czuły, troskliwy, jak w pierwszych dniach po ślubie.

— Ach — zapomniałam ci powiedzieć — zawołała w pewnej chwili Zuzanna — dostałam depeszę od Elzy, przyjeżdża jutro. Dziś wylądowała w Hawrze.

Pomimo całego panowania nad sobą, Vanesco nie mógł powstrzymać się od skrzywienia się. Twarz spochmurniała mu, usta zacisnęły się nerwowo. Przyjazd Elzy, słuchaczki medycyny, mógł pokrzyżować mu plany. Elza ubóstwiała swą siostrę — i gdyby zauważyła początki choroby — wytężyłaby

wszystkie siły, żeby ją uratować. Zuzanna zauważyła niezadowolenie męża.

— Możnaby pomyśleć — rzekła tonem serdecznej wymówki, — że ta wiadomość nie sprawia ci przyjemności.

— Rzeczywiście... widzisz, jestem straszny egoista. Tak się cieszyłem z naszej zgody... a teraz nie będziemy sami...

— Co za kapryśnik! — zawołała młoda kobieta, rumieniąc się z zadowolenia.

Około dziesiątej wieczorem, Vanesco oznajmił, że musi wyjechać do miasta.

— Wrócę zapewne bardzo późno, — dodał, — ściskając czule żonę na pożegnanie.

Po jego odjeździe, Zuzanna udała się na spoczynek. Czuła się straszliwie zmęczoną wzruszeniami dnia. Wypiła trochę wody z chloralem, którą zawsze miała przy łóżku na wypadek bezsenności i wyciągnęła się z rozkoszą na posłaniu.

Po chwili zaczęła drzemać... Nagle zbudził ją jakiś szelest — zdawało się, że ktoś porusza klamką, oparła się na łokciu i nasłuchiwała przez chwilę. Nie — musiała się omylić, nic nie było słychać. Położyła się na nowo, nie mogła jednak zasnąć. Dziesięć minut minęło — nic nie mąciło ciszy nocnej. Nagle szelest powtórzył się znowu. Zuzanna ujrzała, jak drzwi otworzyły się bardzo powoli, ukazała się w nich jakaś postać, która bez szelestu poczęła sunąć w stronę jej łóżka. Już miała krzyknąć, gdy przy świetle lampki nocnej poznała swego męża.

Uspokoiła się odrazu. Musiał powrócić wcześniej i chciał się przekonać, czy zdenerwowanie nie popsuło jej snu. Na myśl o tem, młoda kobieta poczuła się silnie wzruszoną. Chciała jednak przekonać się o tem napewno, leżała więc bez ruchu przyglądając się mężowi z pod przymkniętych powiek.

Vanesco zbliżał się do łóżka z nadzwyczajną ostrożnością, zatrzymując się co krok; w ręku trzymał małą flaszeczkę z kroplomierzem. Wreszcie podszedł i stał przez chwilę bez ruchu, wsłuchując się w lekki, równy oddech młodej kobiety. Kiedy przekonał się, że śpi, nachylił się nad szklanką i Zuzanna usłyszała, jak szeptem liczył: „Jedna, dwie, trzy, cztery, pięć!.. Krople padały z cichym szelestem.

Zimny pot wystąpił na czoło nieszczęśliwej. Zrozumiała wszystko: Vanesco chciał ją otruć...

Rozczulająca scena wieczorna, która ją tak wzruszyła, była ohydną komedyą. Przerażenie i wstręt napełniły jej duszę. Bezwiednie — poruszyła się. Vanesco odskoczył. Chciała krzyknąć, ale powstrzymała się, wystraszona wyglądem męża. Czuła, że zamorduje ją natychmiast, jeśli zdradzi się, że wszystko widziała.

Przyglądał się jej przez chwilę z niedającym się opisać wyrazem twarzy, poczem oddalił się równie cicho, jak przyszedł.

ROZDZIAŁ VI.

Bakcyl Eberthá.

— Ach! moja droga, pozwól przypatrzeć się sobie... Jakżeś blada!.. I schudłaś bardzo... — Temi słowy powitała Elza Stephenson swą siostrę na dworcu. Wsiadły do automobolu, który począł ostrożnie posuwać się wśród mnóstwa pojazdów, omnibusów, tramwayów tłoczących się przy wjeździe do dworca. Elza wzięła za ręce Zuzannę i przyglądała się jej z troskliwością i niepokojem. Jakkolwiek o dwa lata młodsza, wyglądała na starszą siostrę żony doktora Vanesco. Wysoka, dobrze zbudowana, silna — była pełna energii i śmiałości.

— Jakżeż zmieniłaś się, droga Zuziu — mówiła, patrząc w twarz swej siostrze. — Zbladłaś, zmizerniałaś. Czy nie jesteś chora?

Łzy popłynęły po policzkach młodej kobiety.

— Jestem zdrowa.

— Więc cóż się stało? Przerażasz mnie... Opowiedz mi wszystko, możesz mi przecież ufać.

Zuzanna wskazała oczyma szofera, siedzącego przed niemi i rzekła:

— W domu opowiem ci wszystko... Teraz mówmy o twej podróży.

— Nie udało mi się... Zupełna ruina... Nic nie mogłam wydrzeć ze szponów wierzycieli, a, — dodała, ściskając pięści — ojca naszego nazywają tam złodziejem. Biedny ojciec!

Zuzanna westchnęła głęboko. Rozmowa urwała się. W milczeniu, zatopione w swych ciężkich myślach młode kobiety dojechały do domu.

Gdy znalazły się same w swoim pokoju, bez świadków, Zuzanna z płaczem rzuciła się w objęcia siostry.

— Moje biedactwo kochane! Co się stało? Mów!

Zuzanna nie odpowiedziała. Płakała, szczęśliwa, że ma przy sobie kochającą ją istotę. Elza, głęboko wzruszona, tuliła ją do piersi, jak małe dziecko.

— Płacz, płacz, moja droga — szeptała, gładząc ją po głowie — to ci przyniesie ulgę.

Wreszcie Zuzanna uspokoiła się — i z głową opartą na ramieniu siostry — opowiedziała jej wszystko. Elza widziała w tem tylko jedno: jej biednej siostrze groziła śmierć i trzeba ją było ratować.



Ukazała się jakaś postać, która bez szelestu poczęła sunąć w stronę jej łóżka.

— To bardzo poważne — rzekła marszcząc brwi... Nigdy nie sądziłam, żeby rzeczy mogły wziąć taki obrót. Ale na szczęście, jeszcze niema nic straconego, potrafię wyrwać cię ze szponów tego monstrum. W każdym razie, trzeba działać szybko. Powiedz mi, co zrobiłaś z tą wodą zatrutą?

— Wylałam ją.

— Bardzo źle, wiedzielibyśmy, z jaką trucizną mamy do czynienia i stosownie do tego przedsięwzielibyśmy środki ostrożności. Ale to łatwe do naprawienia. W każdym razie powinna to być trucizna działająca powoli. Więc prawdopodobnie będzie dolewał dalej, może jeszcze tej nocy...

— Bądź spokojna, teraz zachowam ją.

— To nie wszystko jeszcze. Żeby nie wzbudzić podejrzeń w trucicielu, zanim prawo się nim nie zaopiekuje — musisz z nim grać komedyę. Musisz uśmiechać się do niego, być czułą i serdeczną. Mam nadzieję, że dziś rano nie okazałaś mu nie...

— Niestety!

— Obawiałam się tego. Moja siostrzyczko najdroższa, jeżeli mnie kochasz, musisz panować nad nerwami. Przemyj oczy zimną wodą, żeby nie spostrzegł, że płakałaś i bądź wesoła i serdeczna. Tylko w taki sposób możemy zwyciężyć.

Zuzanna obiecała być posłuszną i dotrzymała słowa. Jeżeli Vanesco mógł mieć jakieś podejrzenia rano, — uspokoił się zupełnie wieczorem, widząc żonę wesołą i radosną jak rzadko. Nie miał zresztą i rano żadnych podejrzeń. Zły wygląd żony przypisywał działaniu trucizny.

Na drugi dzień, ledwie zaczynało świtać, gdy Elza, zupełnie ubrana i gotowa do wyjścia, wśliznęła się do sypialni swej siostry, która nie spała.

— No i cóż? — zapytała niespokojnie.

— Przychodził znowu — odparła szeptem młoda kobieta.

Elza wzięła szklankę, prawie pełną i przelała ostrożnie jej zawartość do buteleczki, którą przyniosła ze sobą.

— Za godzinę — będę wiedziała, co o tem myśleć.

I nie dając bliższych wyjaśnień, ucałowała serdecznie siostrę, drżącą ze wzruszenia, i wyszła, starając się stąpać bez hałasu. Na placu Gwiazdy wzięła fiakra, który w dwadzieścia minut później zatrzymał się przed starym domem na ulicy Bernardynów.

— Czy Miss Hunter jest w domu? — zapytała odźwiernej.

— Tak jest, proszę pani.

Elza weszła na szóste piętro i zapukała do jednych z drzwi.

— Kto tam? — zapytał młody i poważny głos kobiecy.

— To ja, Elza Stephenson...

— Elza! — wykrzyknięto z radością — drzwi otworzyły się i ukazała się w nich wysoka, młoda dziewczyna o twarzy bardziej inteligentnej niż pięknej, o wypukłem czole, wychylającem się z pod odrzuconych w tył jasnych włosów.

— To ty?! Ty Elzo? — powtarzała wysoka dziewczyna, potrząsając silnie dłonią przyjaciółki. Co za miła niespodzianka! Myślałam, że jesteś jeszcze w Ameryce...

Zatrzymała się raptownie, zauważywszy bladość Elzy i jej dziwne podniecenie, którego nie spostrzegła na razie.

— Na miłość Boga, co ci jest, Elzo? Drżysz cała... Blada jesteś, jak płótno... Czy nie jesteś chora?

— Tu nie o mnie chodzi, Winnie, przychodzę prosić cię o wielką przysługę.

— Uważaj swą prośbę za spełnioną.

— Więc.., jest taka sprawa... Siostrze mojej grozi śmierć... Chcą ją otruć...

— Otruć? Ach!

— Tak, — i oto trucizna... Nie wiemy tylko, jaka... Ty się na tem znasz... Jesteś specyalistką od robienia analiz... Pomyślałam więc o tobie...

— I doskonale zrobiłaś... Daj mi to... Mam tu właśnie całą kolekcyę odczynników... Za kilkanaście minut będę wiedziała, o co chodzi...

— Dziękuję ci.

Miss Hunter przelała cześć płynu do epruwetki, i wzięła się do pracy. Kilkanaście minut upłynęło w głębokiem milczeniu.

— No i cóż? — zapytała wreszcie Elza z niepokojem.

— Nie mogę nic odnaleźć. Woda nie zawiera żadnej znanej mi trucizny — mogę za to odpowiadać głową. Jest w niej trochę cukru i chloralu. Więcej nic.

— A jednakże, jednakże — zawołała z rozpaczą Elza — tam jest trucizna... Moja siostra widziała, jak wlewano ją do szklanki.

— Jest jeszcze jeden sposób — rzekła Miss Hunter.

— Jaki?

— Analiza mikroskopiczna.

Mówiąc to, przysunęła mikroskop, zwilżyła płynem szklaną tabliczkę, założyła ją, przyłożyła oko do rurki.

Nagle krzyknęła w przerażeniu:

— Trucizna! Trucizna! Widzę teraz! Popatrz!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Turcya na przełomie: Jen. Nazim pasza, nowy turecki minister wojny, po inspekcyjnej rewii wojskowej.



Turcya na przełomie: Nowy wielki wezyr Mukhtar pasza (1) i nowy Szeik ul islam (2) udają się na audyencyę do sułtana.

Wybory ziemiańskie w Królestwie Polskiem.

Jedną z najpoważniejszych polskich instytucyi jest niewątpliwie Towarzystwo kredytowe ziemskie, które swą działalnością obejmuje Królestwo Polskie, a skupia w swych szeregach całe ziemiaństwo kraju. To też wybory do gubernialnych zarządów tej instytucyi budzą zawsze wielkie zainteresowanie i wśród miejcowego ziemiaństwa odgrywają ważną rolę.

Podczas ostatnich wyborów w Towarzystwie kred. ziemsk., do piotrkowskiej dyrekcyi weszli następujący radcowie: Marceli Myszkowski (prezes), Walenty Radoszewski, Antoni Turski, Zygmunt E. Łempicki, Bronisław Szwejcer, Władysław Łuczycki, Tadeusz Walicki i Stanisław Rudzki, naczelnik kancelaryi Towarzystwa.

Illustracya nasza przedstawia nowoobranych radców Tow. kred. ziemsk. w Piotrkowie, z prezesem p. Marcelim Myszkowskim.



Na letnisko dla handlowców: Grupa organizatorów zabawy, urządzonej w Bagateli przez Stowarzyszenie pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Pieszo naokoło świata.

Odbywanie „spaceru" dookoła kuli ziemskiej choć nie jest nowością, nie należy do rzeczy zbyt częstych. To też każdy taki światowy piechur budzi zrozumiałe zainteresowanie. Z tem większem zaciekawieniem oglądała niedawno Warszawa parę małżeńską, mianowicie członka paryskiego Instytutu Geograficznego, Gabryela Schaeflé, z żoną, którzy w roku 1907 wyruszyli pieszo w podróż dookoła świata i mają zamiar ją ukończyć w r. 1922, t. j. po 15 latach wędrówki... W każdym razie państwo Schaeflé mogą się poszczycić, że żadna para małżeńska nie odbyła jeszcze tak długiej podróży poślubnej.



Wybory ziemiańskie w Królestwie Polskiem: Nowo obrani radcowie Tow. Kredytowego Ziemskiego w Piotrkowie: Siedzą od strony lewej ku prawej: Walenty Radoszewski, Antoni Turski, Zygmunt E. Łempicki, Marceli Myszkowski (prezes), Bronisław Szwejcer, Władysław Łuczycki, Tadeusz Walicki i Stanisław Rudzki.



Na letnisko dla handlowców: Udekorowane wejście na zabawę w Bagateli, urządzoną przez Stowarzyszenie pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy. Na froncie stoją członkowie zarządu z inicyatorem zabawy p. Karasińskim (X). (Fot. M. Fuks, Warszawa).

Kronika tygodniowa.

Czarna rozpacz, i to do tego daleko czarniejsza od najbardziej nawet czarnej pasty do czyszczenia obuwia, ogarnęła całe moje jestestwo. Być kronikarzem w czasie kanikularno ogórkowym, to przyznam się szczerze, nie należy wcale do przyjemności! Wolałbym się raczej powiesić, ale tego nie zrobię, już choćby z tego powodu, aby moi koledzy po piórze nie mieli materyału do pisania.

Cierpię ja, niech cierpią i oni!

Pociesza nas jedynie zbliżający się coraz bardziej jubileuszowy zjazd esperantystów i operetka lwowska.

Co do pierwszego, to już od tygodnia, a może nawet i więcej mamy znakomity materyał do zapełniania szpalt dziennikarskich narzekaniami na magistrat, iż zupełnie nie bierze w rachubę zjazdu obcych z całego świata, ale pozwala na zeszpecenie krakowskiego Rynku stosami cegieł, belek, kamieni. Od kościółka św. Wojciecha ku pomnikowi Mickiewicza mamy piaszczystą pustynię, prawdziwy raj dla andrusów, którzy tu wywracają koziołki i bardzo wygodne miejsce chwilowego spoczynku dla wracających późną nocą nieprzyjaciół ustawy, noszącej szumną nazwę: „Tama opilstwu“.

Obok sterczą ku niebiosom stosy cegieł, przypominające bardzo nasze Tatry, nic też dziwnego, że różni domorośli turyści używają tutaj w całej pełni *trainingu*, zanim wybiorą się na prawdziwy Giewont lub Zawrat.

Słowem, krakowski Rynek tak teraz wygląda malowniczo, że doprawdy dziwię się tym korespondentom, którzy widocznie szukają dziury na całem. Wychodząc jednak ze zasady, że trudno prenumeratorom dać niezadrukowany arkusz bibuły, nawet w czasie ogórkowym, przebaczam im winę i będę dokładał starań, by nie popełnić podobnej.

Napływ obcych ma być wcale znaczny. Optymiści utrzymują, że przybędzie kilka tysięcy uczestników kongresu, pessymiści natomiast są zdania, że z siedmiuset zgłoszonych nie pojawi się conajmniej dwieście, w najlepszym wypadku może więc liczyć na pół tysiąca właściwych esperantystów, (naturalnie bez towarzyszących im osób, których powinno być przynajmniej drugie tyle).

O informacyę dokładną chciałem się zwrócić telefonicznie do kancelaryi komitetu, niestety, przekonałem się, że to jest niemożebnem, kancelarya bowiem połączeniami tego rodzaju nie rozporządza.

Kto więc ciekawy, niech poczeka jeszcze kilka dni, a przekona się na własne oczy i uszy.

Nie chcę być fałszywym prorokiem, ale koniecznie mi się zdaje, że zjazdowicze nie wyniosą zbyt miłych wspomnień z Krakowa, bo choć dziś jest już siódmego sierpnia, a kongres rozpocznie się dziesiątego, przygotowań dotąd nie widać żadnych i wogóle zainteresowanie nim szerszych warstw społeczeństwa jest bardzo małe.

Tyle o esperantystach.

Z kolei przechodzę do operetki lwowskiej.

Niech mi melomani krakowscy wybaczą, że o operze nic nie piszę, ale przyznam się szczerze, na poważnej muzyce się nie znam, więc chyba trudno się tem zajmować. Choć, prawdę mówiąc, najwięksi nasi krytycy artystyczni z mistrzowstem tworzą właśnie sążniste artykuły o tem, na czem się albo zupełnie nic, albo bardzo mało znają.

Ja tam po laury na tem polu nie sięgam i kto wie, czy byłbym się wogóle zdecydował na odwiedzenie dusznej sali teatralnej, gdyby nie odezwa profesora Wicherkiewicza. „Cnotliwa Zuzanna“ podbiła jednak wstępnym bojem moje serce i biednego słomianego wdowca uczyniła swym niewolnikiem, który odtąd prawie żadnego przedstawienia nie opuścił. Ze zdeklarowanego wroga kobiet stałem się dzięki pani Miłowskiej wielbicielem cnotliwych Zuzann i Barbar i dziś w zaciszu domowego ogniska czynię porównania, która z nich bardziej zasłużyła się dla społeczeństwa, Zuzanna, czy Barbara.

Gdyby to o tem wiedziała moja poczciwa Kundzia, która polega na mnie, jak na Zawiszy, a za wierność moją dałaby sobie nawet język uciąć! Z pewnością przerwałaby kuracyę i najbliższym pociągiem zjechałaby nad Wisłę, aby ratować duszę swego tyrana od potępienia wiecznego, jakie go czeka!... Sądzę jednak, że nikt mnie nie zdradzi, a Opatrzność pozwoli mi w spokoju dokończyć wakacyi.

I mnie i jej mogłoby to poważnie zaszkodzić, choć o mnie już mniejsza... Boję się tylko, by jej kuracya, która mnie tyle kosztowała, nie poszła na marne.

Choć więc skóra cierpnie na mnie na samo wspomnienie prawowitej władzy domowej, która aczkolwiek jest do przesady cnotliwą, nie przypomina przecież w niczem cnotliwej Zuzanny, ani Barbary, stwierdzam z całą stanowczością, że pani Miłowska w obu tych rolach podbiła z kretesem serca słomianych wdowców krakowskich i gdyby tak teraz zechciała z Krakowa kandydować do sejmu lub Rady państwa, jestem pewny, że zwyciężyłaby najpopularniejszych kandydatów. Nawet Ignac musiałby się schować w kąt, gdyby ona z huśtawki wygłosiła mowę kandydacką!

Znam jednego ze starych samożyjców, prawdziwego wroga kobiet, który nigdy dotąd bez obrzydzenia na żadną niewiastę nie popatrzył, a dziś, gdy go przypadkiem zaciągnięto do teatru, w kawalerskiem swem mieszkaniu urządził sobie huśtawkę i nie złazi z niej wcale, powtarzając ciągle tę aryę, która i mnie dotąd dźwięczy w uszach!

Pokazuje się z tego, że kobiety, choćby nawet nie brały bezpośrednio udziału w rządach gminy, kraju lub państwa, mogą na nie wywierać ogromne wpływy... Wyobraźmy sobie opozycyę n.p. w Radzie miejskiej, zabierającą się do gwałtownego ataku na prezydenta.

Lada chwila, a zabrzmią surmy bojowe i waleczne zastępy pójdą w tan rycerski... Wtem odzywa się z kąta sali głos gramofonu:

„Zuzanno ach!
Ja kocham cię aż strach“...

Nastaje cisza, która trwa aż do ukończenia aryi, po niej rozlegają się burzliwe oklaski, a pan prezydent pyta:

— Może jeszcze raz?

— Prosimy! Prosimy! — wołają tak jego zwolennicy, jak i opozycya, która o swej roli zapomniała...

W ten sposób dałyby się przeprowadzić najbardziej żywotne sprawy n. p. przyłączenie Podgórza do Krakowa pomimo opozycyi radcy Przybylskiego, uchwalenie zmiany statutu miejskiego i przeprowadzenie reformy wyborczej, uzyskanie zgody na zaciągnięcie nowej stomilionowej pożyczki na inwestycye i tak dalej i dalej!

A komu mielibyśmy to do zawdzięczenia? Pani Miłowskiej, którą powinniśmy zamianować obywatelką honorową miasta Krakowa i stanowczo sprzeciwić się jej powrotowi nad Pełtew!

Sądzę, że przyznacie mi państwo najzupełniejszą racyę...

Wyczerpawszy temat esperantowski i teatralnooperetkowy byłem w niemałym kanikularno ogórkowym kłopocie, do czego się zabrać, gdy tymczasem jakiś życzliwy geniusz, opiekujący się kronikarzami, podsunął mi pod nos poranny wtorkowy numer *Nowej Reformy*, w której czytamy poważny polityczno-społeczny artykuł następującej treści:

„Z Warszawy donoszą: Onegdaj nad wieczorem przez ulicę Marszałkowską w kierunku Ogrodu Saskiego, roztrącając przechodniów, szli pp. M. i P.

Dotarłszy do „pawilonu“ przed dworcem wiedeńskim, stanęli obaj jednocześnie przed odźwierną, żądając osobnego „gabinetu“. Odźwierna, mając wolny tylko jeden, znalazła się w trudnem położeniu, nie wahając się jednak oddała go panu M., oświadczając, że on przybył pierwszy.

Urażony pan P. zaczął kłótnię z panem M. i ostatecznie przeciwnicy zamienili bilety wizytowe. (Czy nie zmienili potem także i czego innego, o tem korespondent nie wspomina!... przyp. zecera).

Podobno w tych dniach odbędzie się jedyny w swym rodzaju pojedynek na tle rozstroju żołądka“...

Tyle *Nowa Reforma...*

Przeczytawszy, pomyślałem sobie, kanikuła daje nam się poważnie we znaki, skoro pismo, mające pretensyę uchodzić za poważne, podobnemi bzdurstwami zapełnia swoje szpalty. Wolałbym już wiadomość o złowieniu węża morskiego, mającego siedmnaście kilometrów długości od głowy do ogona, a odwrotnie tylko piętnaście, razem więc trzydzieści dwa, albo o owym izraelicie, który ongiś zasiadał, aczkolwiek bardzo krótko, na tronie polskim i co kilka lat w tym właśnie ogórkowym okresie powraca stale na szpalty naszych pism.

Czyż nie lepiej zajmować się polityką?

A jest przecież o czem pisać i mówić, europejski pokój, a właściwie pokój światowy, pozostawia bardzo wiele do życzenia. Ogólna uwaga zwrócona jest na Turcyę, której koniecznie przepowiadają blizki koniec, zwłaszcza, że i wewnętrzne stosunki tamtejsze pozostawiają bardzo wiele do życzenia, a powstania wybuchają coraz to gdzieindziej.

Padyszach, udający ciągle Młodoturka, wypada z roli i, zdaje się, byłby bardzo zadowolony, gdyby tak pewnego pięknego poranku zawiadomiono go urzędowo, że może sobie szukać innej posady. Na dziedzictwo po nim znajdzie się dosyć amatorów.

Sytuacya jest jednak tego rodzaju, że wszystkie państwa muszą się mieć na baczności, zbroją się też na gwałt na lądzie, morzu i w powietrzu, wygłaszając przy tem płomienne tyrady na cześć światowego pokoju.

Także i austryacki minister wojny nie pozostał w tyle, ale zażądał dodatkowego kredytu na nowe stalowe armaty, co, jak wiadomo, spotkało się z odmowną odpowiedzią austryackiej rady ministrów. Nie dał przecież za wygraną i postarał się, że na razie zrobi się armaty bez pieniędzy, potem muszą się ekscellencye zgodzić na wyrównanie rachunku, bo inaczej będzie bieda.

To jest najlepsza metoda, stosowana już z bardzo dobrym skutkiem przy budowie austryackich dreadnoughtów.

Sprawa ugody czesko-niemieckiej, która miała być ogłoszoną publicznie już w dniu 18 sierpnia i przyczynić się do utworzenia większości rządowej, a następnie i sparlamentaryzowania gabinetu, utknęła gdzieś w drodze między Wiedniem i Pragą. Także ów zjazd polityków w Maryenbadzie, o którym tyle mówiono, jakoś do skutku nie dochodzi, zdaje się, że tymczasem skończą się wakacye, zanim oni ruszą się z miejsca, bo to jest strasznie ciężka kawalerya.

W braku wiadomości politycznych zajmowano się sprawami wszelkiego rodzaju, a prym między niemi wiodły poszukiwania za zwłokami panny Szystowskiej.

Co to było najrozmaitszych wersyi, pogłosek i przypuszczeń! Naszym paniom, czy one bawią w Krakowie, czy też w Zakopanem, nie brakło materyału do rozmowy przy popołudniowej kawunci, kiedy to, jak wiadomo, niewiasty są najwymowniejsze, a języki ich pracują ze wzmożoną energią, przypominając śruby aeroplanów najnowszej konstrukcyi.

Widziano ją tu i tam, z tym lub owym, przypuszczano, że padła ofiarą półdzikich juhasów węgierskich, ostatecznie pokazało się, że wszyscy byli w błędzie. Po trzechtygodniowych poszukiwaniach, prawie przypadkowo, znaleziono jej zwłoki. Zabłąkała się w nieznanej a niebezpiecznej okolicy i runęła w przepaść.

Teraz, gdy jest już pewnem, jaki ją los spotkał, wyrazić należy co najmniej zdziwienie, że uniewinnia się najzupełniej kierownika wycieczki, który przyjmuje przecież zawsze na siebie odpowiedzialność za bezpieczeństwo osób, zostających pod jego opieką.



Turcya na przełomie: Ranni powstańcy albańscy w Mitrowicy.



Turcya na przełomie: Miasto Prisztina, główny centr albańskiego ruchu powstańczego.

Na letnisko dla handlowców.

Dobrze jest łączyć „przyjemne z pożytecznem". Przestrzega tej zasady Stowarzyszenie pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy, jedna z ruchliwszych instytucyi warszawskich. Jest ono nie tylko ogniskiem życia kulturalno towarzyskiego dla szerokich kół pracowników handlowych, ale również stara się zaspokoić potrzeby materyalne członków. Dzięki inicyatywie i staraniom redaktora „Handlowca" p. Karasińskiego, który jest duszą instytucyi, Stowarzyszenie przystąpiło niedawno do budowy własnego gmachu przy ul. Śliskiej nr. 9, a myśli także o stworzeniu własnego letniska. Myśl tę podniósł również p. Karasiński, który na cele letniska zorganizował wielką zabawę w „Bagateli". Publiczność warszawska nie poskąpiła poparcia sympatycznemu Stowarzyszeniu i pospieszyła tłumnie na zabawę, która przyniosła 1500 rubli czystego dochodu. Piękny cel i miła rozrywka, hasła przyświecające warszawskiemu Stowarzyszeniu handlowców, mogą poszczycić się coraz większymi sukcesami.

Ćwierć wieku po maturze.

(Do illustracyi na str. 10).

Przed kilkunastu dniami mury gimnazyum tarnowskiego gościły drogich i serdecznych gości. Zjechali się bowiem wszyscy koledzy, którzy przed 25 laty ukończyli zakład i poszli w świat, aby przez swą pracę obywatelską zasługiwać sobie na szacunek społeczeństwa.

Zjazd był bardzo liczny. O godzinie 9 rano udali się wszyscy przybyli parami z gimnazyum do kościoła XX. Filipinów, jako dawnego kościoła gimnazyalnego, gdzie dawny katecheta a obecnie kanonik kapituły tarnowskiej, ks. prałat Franciszek Walczyński, odprawił mszę św., zakończoną „Te Deum" i przemową, pełną głębokich myśli i uczucia. Do mszy św. jako ministrant służył jeden z byłych uczniów. Po nabożeństwie powrócili wszyscy do klasy; profesorowie zajęli miejsce przy katedrze, dawni uczniowie w ławkach na swych dawnych miejscach. Gdy tercyan zadzwonił, uciszyło się w sali, a p. A. Strzelecki, prof. gimnazyalny, jako prezes komitetu, zagaił zebranie, witając przybyłych i dziękując za zajęcie się urządzeniem zjazdu pp. dr. Nidzie i dr. Finkowi.



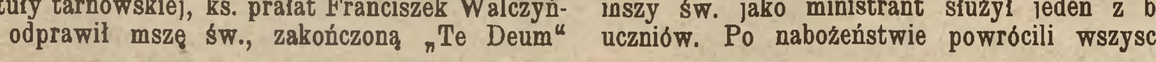
Echa walki z bandytami w Szczakowej: Zwłoki bandyty Mielnika.

Najstarszy wiekiem profesor, radca szkolny Martusiewicz odczytał katalog. Z 48 abituryentów zjawiło się 33, 6 umarło, a 9 nieobecnych przesłali pisemnie i telegraficznie życzenia.

Po wspólnej fotografii, którą w dzisiejszym numerze zamieszczamy, odbyła się uczta koleżeńska w hotelu Bristol, podczas której przemawiali pp. dr. Jan Tokarz, radca szkolny Fr. Habura, dr. Sichrawa oraz dr. J. Gabryelski.

Odznaczenie i pożegnanie zasłużonego urzędnika.

Piękną uroczystość obchodzili urzędnicy starostwa i szersze koła obywateli w Grybowie. Żegnano tam p. Jana Hieronima Tchórzewskiego, starszego oficyała ewidencyi obrony krajowej przy starostwie, który po 40 latach służby przeszedł w zasłużony stan spoczynku. Na tem odpowiedzialnem stanowisku p. Tchórzewski w ciągu swej 40 letniej służby potrafił pogodzić obowiązki gorliwego urzędnika i dobrego Polaka-obywatela, to też w dniu pożegnalnej uroczystości spotkał się z szczeremi objawami uznania i sympatyi. Starosta, p. Adam Grabowski, na uroczystem zebraniu wręczył zasłużonemu jubilatowi złoty krzyż zasługi, a wieczorem w Kasynie urzędniczem odbył się na cześć p. Tchórzewskiego ban-



Odznaczenie i pożegnanie zasłużonego urzędnika: Ustępujący po 40 latach służby starszy oficyał ewidencyi obrony krajowej przy starostwie w Grybowie, p. Jan Hieronim Tchórzewski (X) w gronie urzędników starostwa.



Pieszo naokoło świata: Członek paryskiego Instytutu geograficznego Gabryel Schaefié z żoną w podróży pieszej naokoło świata.

kiet, w którym wzięły udział liczniejsze koła obywateli, dając tem wyraz swej sympatyi dla zasłużonego urzędnika i dobrego obywatela kraju.

Echa walki z bandytami w Szczakowej.

Jak się okazuje, policya miała dobre przeczucie, rozpoczynając pościg za 2 podejrzanemi indywiduami w Szczakowej, z którymi musiała następnie stoczyć krwawą walkę. Obaj bandyci, zabity Mielnik i raniony Józefowicz, jak się przekonano, mają na sumieniu cały szereg napadów bandyckich w Królestwie Polskiem. Uwięziony w Krakowie Józefowicz wypiera się wprawdzie wszelkiej łączności z zabitym Mielnikiem i wogóle z bandytyzmem, ale to nie uwolni go od ciężkiej odpowiedzialności za zbrodnicze strzały w Szczakowej. Zato sam sobie wymierzył sprawiedliwość drugi bandyta Mielnik, który, widząc niemożliwość ucieczki, celnym strzałem, jak wiadomo, odebrał sobie życie...

W dzisiejszym numerze podajemy właśnie fotografię zwłok tego bandyty-samobójcy.

Turcya na przełomie.

Oczy całej Europy zwrócone są obecnie z zaciekawieniem na Turcyę, gdzie dokonywa się zasadnicza zmiana w wewnętrznej polityce państwa. Wpływ Młodoturków, którzy od chwili nadania konstytucyi dzierżyli władzę w swoich rękach, został zupełnie złamany. Nowy rząd turecki ostatecznie dopiął celu i przeprowadził rozwiązanie parlamentu, który stanowił jedyną ostoję komitetu młodotureckiego. Uczynił to z chwilą, gdy przekonał się, że wpływ Młodoturków na wojsko zupełnie zanikł i za komitetem prócz grupy najbliższych zwolenników nie ma nikogo więcej.

Rozwiązanie Izby było jednym z głównych warunków rozpoczęcia rokowań rządu tureckiego z albańskimi powstańcami. Albańczycy oświadczyli bowiem, że tylko w razie rozwiązania Izby o pokoju mówić będę. Opanowali oni Prisztinę, w której zajmują bardzo obronną pozycyę.

Albańczycy są pełni dobrej nadziei i dlatego nie bardzo chcą traktować z wysłaną do nich specyalną rządową komisyą.

Powstanie albańskie wywołało naturalnie ruch w całej Macedonii i sąsiednich państwach. Coraz częściej i śmielej zaczynają głowę podnosić bandy powstańcze, zorganizowane przeciw Turcyi przez Bułgarów lub Serbów. We wszystkich krajach na Bałkanie wre gorączkowe przygotowanie do jakichś nowych, wielkich wydarzeń.

Illustracye nasze przedstawiają kilku członków nowego rządu tureckiego oraz momenty z powstania w Albanii.

Walka z wodą.

(Do illustracyi na str. 4).

Jakkolwiek wypadki utonięć są u nas bardzo częste, dotychczas najmniej może zwracano uwagę na umiejętność ratowania tonących, wymagającą specyalnego wyszkolenia. Umiejętność pływania jeszcze nie wystarcza i ażeby zmniejszyć liczbę ofiar, które corocznie giną w nurtach naszych rzek, należałoby obeznać najszersze koła ze sposobami ratowania tonących, często bowiem się zdarza, że dobry pływak, spiesząc na pomoc tonącemu, nie tylko nie potrafi go wyratować, ale i sam ginie.

Dobrym początkiem w tym kierunku jest niewątpliwie pierwszy kurs ratownictw wodnego dla członków ochotniczych straży pożarnych, zorganizowany staraniem Krajowego Związku ochotniczych straży pożarnych w Haliczu.

Na kurs, który trwał od 15 lipca do 1 sierpnia, przybyło dziesięciu uczestników, mianowicie: Władysław Wach, wicesekretarz Krajowego Związku, Józef Sroka, instruktor Zarządu głównego kółek rolniczych, Karol Dobrzański, naczelnik straży pożarnej w Stryju, Jakób Robinson, wicenaczelnik straży pożarnej w Stanisławowie, oraz członkowie straży ochotniczych: Michał Romaniszyn (ze Lwowa), Antoni Barański (Bochnia), Antoni Mindur (Sanok), Kazimierz Czerwiński (Brzeżany), i Stanisław Bałłowski, (Stanisławów), tudzież Emil Ormerowski jako hospitant z Halicza.

Naukę prowadzili pp. bar. Emil Groff, nadporucznik 11 p. pionierów z Przemyśla i Józef Ergietowski porucznik 95 p. p. ze Lwowa, pod kierunkiem majora bar. Rudolfa Fröhlicha. Naczelnikiem kursu był p. Karol Baczyński, delegat kraj. Związku straży.

W zakres nauki wchodziła nauka pływania łódką, na tratwie lub galarze, nauka wiązania różnych węzłów, oraz zarzucania lin do wody celem ratowania tonących, dalej budowa tratwy, budowa kładki dla przechodu ludzi i przypędu bydła, ochrona brzegów, domów wpobliżu brzegów stojących, i mostów, wzmocnienie wałów, ratowanie życia ludzkiego, zwierząt domowych, ruchomości i t. p.

Dnia 31 lipca odbył się popis w obecności licznego grona gości, którzy z podziwem patrzyli na sprawne ćwiczenia uczestników kursu.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 30.

Logogryf:

J
N ó w
M a z u r
T e h e r a n
K o r y f e u s z
T o m b o l a
B y r o n
B a s
U d o
T y t a n

Zadanie literackie:

Przyborowski
Augustynowicz
Wysłouchowa
Esteja
Łopuszańska
Bartkiewicz
Esteja
Rodziewiczówna
Teresa Jadwiga

Szarada: Kukurydze.

Zadanie do przestawienia: Śmiałków psy gryzą.

Łamigłówka:

O k o
l o s
i n n
o k a
k u r
e r a
o s a
u p a
c ł s
k ę s
i k a
o n a
d o n
o ś ć
a c h
l i n

Arytmogryf:

M P
i o
J u k a t a n
o r
P o ł t a w a
a w
j y

Przysłowiówka: Jak kto może, Pana Boga chwali.

Zadanie do przestawienia: Pokorne ciele dwie matki ssie.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, K. Szumańska Rawa Ruska, J. Roland Prądnik Czerwony, K. Fuchs Czeremchów, W. Borkowski Kraków, M. Arbesbauer Lwów, D. Sedyńska Zakopane, J. Zaleski Czerniowce, K. Radoszewski Tarnobrzeg, S. Bukowski Kijów, K. Różycki Lwów, A. Wojciechowski Kraków, J. Obraczay Morawska Ostrawa, M. Kapalska Tarnów, S. Niżyński Lwów, J. Jaglarz Lwów, S. Stawarski Wiedeń, L. Czerniecki Cieszyn, K. Tichy Kołomyja, M. Ligęza Lwów, M. Wojakowski Petersburg, I. Brzostowski Podgórze, K. Galiński Sanok. S. Sokołowski Rzeszów, A. Barnat Złoczów, L. Bandrowski Częstochowa, J. Janik Drohobycz, J. Kruszelnicki Janów, H. Biesiadecki Kraków, J. Trepka Sandomierz, J. Czarkowski Skierniewice, A. Lichański Radziwiłłów, S. Nowacki Przemyśl, A. Trzeciak Krynica, H. Schwarz Warszawa, R. Link Lwów, M. Potocka Kraków, I. Trojacki Wiedeń, A. Biliński Tarnopol, J. Gruber Drohobycz, M. Gottlieb Sambor, T. Chrzanowski Suwałki, J. Wójtowicz Rzeszów, S. Krzyżanowski Podgórze, S. Kowalówka Kraków, M. Toporowski Lwów, G. Samlicki Przemyśl, M. Horak Oświęcim, S. Krysakowski Częstochowa, J. Sperling Wiedeń, M. Cegielska Poznań, K Radomski Lwów, J. Stumpf Stanisławów, M. Więckowska Warszawa, S. Bobrowski Lwów, K. Dulęba Lwów, S. Kozarski Sichów, R. Majewski Lwów, S. Karczmarski Kraków, A. Gralewski Kraków, K. Gliński Jaremcze, D. Engelberg Rzeszów, S. Kozłowski Kraków, K Kaim Czarna, S. Reich Łódź, M. Wyka Sambor, J. Kamocka Kalisz, F. Blatterfeind Jaworów, K. Dębiński Lwów, L. Aleksandrowicz Płock, A. Dużak Kraków, W. Lisowski Warszawa, S Ostrowski Petersburg, W. Zawadzki Tarnów, S Korytowski Jasło, A. Siatka Kraków, E. Niestenberger Zakopane, M. Jahoda Cieszyn, T. Nikiel Kraków, I Zachara Mielec, E Dębiński Szczawnica, M. Klappholz Rzeszów, H. Kamiński Lwów, J Stępień Rabka, T. Kinalski Tarnopol, K. Hoszowski Jaremcze, I. Rosenbaum Rzeszów, J. Bałuk Kołomyja, J. Gruszczyńska Wadowice, S. Fijałkowski Jasło, M. Orlińska Jaworów, D. Staniszewski Lwów, C Wang Tarnobrzeg, M. Sadowska Poronin, L. Zapałowicz Wilno, M. Łapiński Warszawa, I. Wiewiórowski Szczawnica, S. Raczyński Rzeszów, M. Maresch Lwów, L. Langer Kraków, R. Gadomski Zakopane, K. Armatys Ulanów, S. Dubiel Krosno, G. Świrski Piotrków, A. Wilczkiewicz Stanisławów, J Cichoń Warszawa, M. Kadulski Oświęcim, S. Lindenbaum Czerniowce, J. Topolnicki Kamieniec, K. Mann Bochnia, S. Ryglicki Poznań, K. Zegartowska Bogucice, H. Mizerska Płock, S. Karwowski Pilzno, H. Piątek Podwołoczyska, E Mianowska Lwów, J. Popiel Mińsk, W. Kwaśniewski Opałów, J. Błachowski Szczucin, I. Gajewski Tarnów, S. Baziak Staszów, K. Malinowska Lwów, J. Antosz Sanok, M Krawecki Radomyśl, J. Obst Łódź, M. Scholz Rozwadów, L. Mróz Lwów, J. Strojek Tarnopol, Z. Mazaraki Radom, H. Wincencik Kraków, M. Broda Lwów, H. Lasocińska Lublin, P. Madejski Wiedeń, J. Gans Lwów, L. Berezowski Nowy Sącz, J. Jakubowska Kraków, F. Schmidt Cieszyn, A. Augustynowicz Lwów, F. Urban Kraków, S. Zaremba Mszana.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **M. Toporowski, Lwów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Z „Cyrku Edison“: Od dnia 9 b. m do 15 b. m. włącznie nowy program przynosi dawno niewidziane przepiękne zdjęcia z natury, wspaniały dramat „Taniec wężowy“ będący niejako dalszym ciągiem tak podziwianego przed paru tygodniami latającego cyrku. Dramat ten przedstawiony przez niezrównanych mistrzów zachwyca wystawą, interesuje treścią i przeprowadzeniem umiejętnem o silnem napięciu. Obrazy komiczne dopełniają urozmaiconego programu.

Ze świata kobiecego.

Jesień się zbliża.

Dla tych, którzy nie są wtajemniczeni w arkana mody damskiej tytuł dzisiejszy wyda się dosyć dziwnym. Jakto? — zapytają, — dzisiaj w połowie sierpnia już o jesieni pisać? Niestety, tak już jest z modą. Ci, którzy ją tworzą, żyją o wiele szyb-



Jesienny kostyum zrobiony z sukienka, spódniczka ciemno bronzowa, zaś żakiecik jasny.

szem życiem, niż ci, co ją noszą. I podczas gdy panie używają jeszcze w całej pełni lata, w magazynach i sklepach przygotowują się już kupcy na kampanię jesienną. Materye letnie wysprzedaje się na gwałt lub powoli pakuje do kartonów, zasuwając w głąb sklepów. Na powierzchnię zaś wypływa to, co daje nam nowa faza mody t. j. jesień.

Mimo skwarnego lata, czuć już jej cichy krok, zbliżający się powoli. Na polach znikają łany zbóż, drzewa złocą i rumienią się owocami, a i ludzie znużeni upałem, zaczynają wzdychać do odmiany. I ona przychodzi.

W dziedzinie mody wraca znowu ton spokojniejszy. Suknie w części przynajmniej zmieniają się w kostyumy, których jesień zapowiada znaczną rozmaitość.

Kolor biały z czarnem podobnie jak przez lato utrzymuje się i na jesień w swych prawach pierwszeństwa, jedynie jakość materyałów staje się poważniejsza. Lekkie jedwabie i batysty zastępują poważne materye jedwabne oraz sukienka różnego rodzaju. Kostyumy jesienne odznaczać się będą pod względem barw tym zasadniczym warunkiem, że żakieciki powinny być robione z materyału odmiennego i silnie odbijającego koloru niż spódniczki. Wrócą znowu do użycia jedwabne krótkie żakieciki do materyalnych spódniczek.

Co do gatunku materyały używane na suknie powinny być bardzo miękkie, przeważnie gładkie. Przez to jednak będą one w cenie trochę droższe.

Do przybrania sukien i kapeluszy używane będą w jesieni kwiaty z materyi a więc jedwabne lub



Kapelusz jesienny z czarnego filcu, ubrany jedwabiem i wielkim rajerem.

aksamitne. Moda jednak pozwoli w tej dziedzinie na jedną nadzwyczajność, mianowicie wejdą w użycie także kwiaty robione szydełkiem i to w kilku barwach. Tak n. p. możliwe jest przybranie białej sukni różami szydełkowymi w kolorach lila, czerwonym i zielonym, a więc barwach dosyć jaskrawych.

Kapelusze modne będą dosyć duże, stanowiące zestawienie filcu i tafty w dwóch kolorach n. p. czarnym i białym, lila i bronzowym lub bronzowym i białym i t. d. Jako przybranie najmodniejszemi będą długie spadające rajery.

W dziedzinie sukien pozostanie tylko jeden dział bewzględnie modnym t. j. suknie z koronek. Kto wie nawet czy i na zimę moda ta się nie zachowa. Stałość pani mody w tej dziedzinie tłomaczy się tem, że suknie z koronek są bardzo drogie ale i bardzo trwałe. Wzgląd finansowy bierze więc górę i choć raz nagina modę ku swej drodze.

Także można będzie w jesieni nosić suknie z gazy, ale tylko przybrane czemś ciężkiem n. p. futerkiem. Ma się rozumieć mowa tu tylko o sukniach wieczorowych.

Pończoszki i buciki pozostaną nadal w kolorach sukien. Buciki będą robione albo z aksamitu, albo też z cienkiej skórki, przeważnie w kolorach bronzowym, szarym i lila.

Wrócą także i mufki. Będą jednak robione z materyi delikatnych jak koronki lub gaza, a wierzch mufki zdobić winien kwiat z materyi lub robiony szydełkiem.

Angielskie kostyumy zostały u dołu cokolwiek jeszcze poszerzone, na biodrach jednak pozostały nadal obcisłe.

O ile chodzi o kolory tak zwane modne, to obok białego i czarnego pierwszą rolę odegra bronzowy



Suknia angielska do podróży ze specyalnem nowem zapięciem żakiecika.

oraz kilka specyalnych odmian kolorów czerwono-lila i lila-niebieskich, dla których modnisie wymyślili bardzo egzotyczne nazwy. *W.*

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

3

Po chwili dysputy zgodził się Mr. Desbois-Billy, aby wezwano do pomocy w badania Paulina Broquet. Zatelefowano do detektywa, który był zajęty przy ulicy Saint-Marc, prosząc, aby niezwłocznie przybył.

Szef gabinetu był jeszcze tak wzruszony, iż nie miał sił ruszyć się z krzesła. Wysłano więc Mr. Raynoud, aby oczekiwał na Paulina Broquet i wprowadził go bocznymi schodami do gabinetu.

. . . .

Mr. Paulin Broquet stojąc przed prefektem mówił uśmiechając się:

— Mógłbym zupełnie dobrze wejść niepostrzeżenie do gabinetu i nie potrzebować do tego towarzystwa tego młodego sportsmena.

— To Mr. Raynaud, siostrzeniec pewnego senatora, mojego przyjaciela, — zauważył minister.

Poczem dodał:

— Ale czemu go pan nazywa sportsmenem?

— Bo, o ile się nie mylę, jest on wielkim amatorem wyścigów.

— Raynaud?.. Nie wiedziałem!

ROZDZIAŁ VI.

Paulin Broquet, powiadomiony o wszystkiem, nie chciał wyjawić swego zdania, dopóki nie obejrzał szafy i nie zbadał wszystkich towarzyszących zajściu okoliczności.

— Nicby nie było w tem dziwnego, gdyby pomimo ścisłego dozoru i wierności Michała, ktoś mógł wejść tutaj. Oczywiście są klucze specyalne, jest cały tłum dozorców, lecz zdaje mi się, że dostać się tu byłoby łatwiej, niż do zwykłego młynarza, śpiącego w swym młynie.

— A jednak Michał pilnuje zawsze tych drzwi...

— Zgadzam się, panie ministrze, — przerwał Paulin Broquet, — ale proszę mi powiedzieć, dokąd prowadzą te drugie drzwi?

— Do gabinetu Mr. Simonet.

— Doskonale... Czy w korytarzu znajduje się jeszcze jaki dozorca?

— Tak.

— A czy gabinet Mr. Simonet posiada tylko jedne drzwi?

— O nie, są jeszcze drugie.

— Gdzie prowadzą te ostatnie?

— Łączą gabinet z pokojami wyższych urzędników ministeryum.

— Dobrze! Te pokoje łączą się z pokojami niższych urzędników i służby, tamte zaś wychodzą na liczne korytarze, których nikt oczywiście nie pilnuje w nocy; korytarze na schody, schody na podwórza, podwórza przytykają do ulicy... Uważa pan...

Mówiąc to, zbliżył się do szafy i zaczął oglądać szczegółowo drzwi zapomocą lupy.

— Niema śladu włamania — zauważył — otworzono poprostu drzwi zapomocą klucza i stosownego słowa.

Spróbował zamknąć, lecz napróżno. Otworzył drzwi szeroko, zajrzał wewnątrz i rzekł wkońcu:

— Bardzo proste. Jedna z teczek spadła z półki aż na sam dół i przeszkadza zamknąć drzwi. Człowiek, który się tu był zakradł, widocznie spieszył się bardzo i nie miał czasu zbadać, czemu drzwi się nie domykają... Przymknął je więc tylko i uciekł... Gdyby nie kawałek tego kartonu, nikt nie byłby zauważył tego, co zaszło.

— A więc pan sądzi, że to naprawdę... — zaczął minister.

— Mam nadzieję, że nędznik ten nie zdążył znaleźć dokumentu, którego szukał.

To zdanie uspokoiło ministra i zaczęło wracać równowagę umysłu szefowi gabinetu.

Paulin Broquet poprosił następnie o klucz od szafy, który mu natychmiast wręczył M. Simonet.

— A — zauważył detektyw — on nie jest niklowany, tem lepiej.

Zaczął go oglądać przez lupę.

— Czy pan się kiedy zajmuje modelowaniem? — zwrócił się ku szefowi gabinetu.

— Ja? Nigdy — odpowiedział zapytany. — Jeżeli chodzi o sztuki piękne, to gram na fortepianie tylko.

— O, to mniej mnie obchodzi... lecz tu w szczelinach klucza znajdują się resztki wosku do modelowania.

Minister i prefekt policyi mogli zapomocą lupy sprawdzić te słowa, które zniszczyły wszelką nadzieję w duszy M. Simoneta.

— Widocznie zrobiono model klucza — mówił dalej Paulin Broquet — i zapomocą tego...

— To niemożliwe — przerwał M. Simonet. — Noszę ten klucz zawsze z sobą na kółku, nigdy się z nim nie rozstaję.

— Przepraszam — zauważył detektyw — lecz na tem kółku wiszą zapewne inne także klucze, naprzykład klucze od szuflad biurka w pańskim gabinecie.

— Rzeczywiście.

— A czy nie zdarza się panu otworzyć którą z szuflad i zostawić w zamku klucz z kółkiem podczas nieobecności swej w gabinecie?

— Przyznaję, że to się czasem zdarza, lecz nigdy nie odchodzę na długo...

— O, kilka sekund wystarczyłoby.

— Ależ panie... w moim gabinecie!

— Łatwiej, niż tutaj. Nie zatrzymujmy się dłużej nad tem, musi się pan zgodzić ze mną, gdyż widzi pan na kluczu resztki wosku, co jest dostatecznym dowodem... Kto mógł to uczynić? Napewno ktoś, kto mógł wejść do gabinetu za zgodą pilnującego dozorcy...

— A więc ktoś należący do urzędników ministeryum?

— O tem dowiemy się później... Teraz rozpocznę dalsze badania.

To mówiąc, rozpoczął oglądać pokój, zaglądając do każdego kąta, szukając, węsząc.

Wtem zatrzymał się w jednym z kątów koło wielkiego okna.

Przyciągnął do siebie ciężką firankę i zaczął oglądać ją starannie... Następnie spojrzał na podłogę, ukląkł i zaczął badać dywan przez lupę. Wkońcu podniósł głowę i zapytał:

— Czy dawno fotografowano pana, panie ministrze, w tym gabinecie?

— Mnie? — zawołał M. Desbois-Billy — ależ mnie tu nigdy nie fotografowano.

— A więc pan sam zajmował się fotografowaniem czegoś, czy kogoś.

— Nigdy w życiu!

— A więc ktoś nieznany to robił... i to bardzo niedawno... wczoraj może... przy świetle magnezyowem.

— Ależ to niemożliwe!...

— Było niemożliwe zrobienie odcisku klucza, otwarcie szafy, a jednak wszystko to było, musimy się z tem zgodzić!...

ROZDZIAŁ VII.

Los kraju zależny od jednej fotografii.

Nie można było zaprzeczyć dowodzeniom detektywa.

Paulin Broquet wziął z biurka ministra kawałek czystego papieru i nóż ze słoniowej kości. Nożem zebrał z dywanu kurz na papier, tak jak to uczynił przed godziną przy ulicy Saint-Marc.

— Oto — powiedział — srebrny pył, który jest dowodem, iż w tym gabinecie, tak dobrze zamkniętym, tak doskonale strzeżonym, ktoś zdejmował fotografie z czegoś przy świetle magnezyowem. Firanka jest usiana małemi dziurkami, pochodzącemi od magnezyi, to także jest dostatecznym dowodem.

Złożył papier z magnezyą i włożył go do portfelu. Następnie zapytał:

— Które papiery według pańskiego zdania, panie ministrze, były fotografowane?

— Myślę, że chyba te, które leżą w teczce na mojem biurku. Lecz ja i Simonet przeglądaliśmy te papiery... Nic tam nie zginęło... wszystko jest w porządku.

Broquet uśmiechnął się.

— To jest zupełnie naturalne, że nic nie zabrano z teczki. Ale proszę mi ją pokazać.

— Proszę pana.

Detektyw zaczął oglądać starannie każdy arkusz papieru. Wreszcie wskazując jeden, powiedział:

— Ten dokument był fotografowany.

— Treść traktatu!... — zawołał Mr. Desbois — Billy. — To jest najważniejsze ze wszystkiego. Lecz skąd pan wie, że to było fotografowane? Gdzie dowody?

— Pan sam może się przekonać, panie ministrze, że jest tak, jak mówię, — odparł Paulin Broquet ze zwykłym sobie spokojem. — Wiedzi pan, w każdym rogu arkusza są ślady przekłucia pluskiewkami, któremi przymocowany był dokument do ściany dla sfotografowania...

Podszedł do ściany położonej naprzeciw okna, którego stora była pokryta pyłem magnezyowym, i po chwili szukania przemówił:

— Oto są cztery dziurki we drzwiach. Tu przymocowano papier. Odległość między dziurkami odpowiada w zupełności tejże na papierze.

— A, — zawołał rozpaczliwie minister, — jeżeli oni sfotografowali ten dokument, jeżeli go znają, to znaczy, że Francyę czeka straszne nieszczęście!

— Przepraszam, panie ministrze — przerwał mu żywo Broquet — może oni jeszcze tej fotografii nie mają!

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To, że fotografię zdjęto tej nocy. A więc w tej chwili klisze jeszcze może nie są wywołane. W każdym razie ci oni nie mogli jeszcze przejechać granicy... A więc...

To była ostatnia nadzieja.

Minister zaczął prosić prefekta policyi, aby natychmiast zarządził odpowiednie poszukiwania.

— Zrobię wszystko, co będę mógł — zapewniał go ten ostatni. — Mam zręcznych ludzi... Paulin Broquet nam pomoże... Zatelegrafuję natychmiast do wszystkich pogranicznych stacyi... Wszystko, co jest w mocy ludzkiej, zrobi się, aby uniknąć nieszczęścia.

— Tylko, aby się nie spóźnić, panie prefekcie — mówił Broquet — ja sam...

W tem zadrżał.

— Czekajcie, czekajcie! — wołał.

Wyjął z kieszeni portfel, wyszukał w nim pakieciki z magnezyą z ulicy Saint — Marc, rozwinął je, wysypał magnezyę zebraną w gabinecie ministeryalnym.

Nastąpiła chwila głębokiej ciszy.

Minister, prefekt policyi, szef gabinetu nachyleni nad detektywem oczekiwali z sercem bijącem, ze ściśniętem gardłem, słowa z ust tego ostatniego.

W końcu Paulin Broquet przemówił głosem nieco drżącym.

— Magnezya zebrana tutaj jest taka sama jak i znaleziona przy ulicy Saint-Marc.

Poczem złożył znowu dwa pakieciki, schował je starannie w portfelu i dodał już zupełnie spokojnie:

— Może nam się uda panie ministrze usunąć nieszczęście, które grozi Francyi.

Chwycił kapelusz i, nie mówiąc ani słowa więcej, wybiegł pośpiesznie z pokoju.

ROZDZIAŁ VIII.

On.

Paulin Broquet przebiegł przedpokój, korytarz i zbiegł bocznemi schodami na dół.

Michał, wierny woźny, który nie miał pojęcia o dramacie jaki się rozegrał przed chwilą w gabinecie — nie zwrócił uwagi na detektywa, którego znał dobrze.

Gdy Paulin Broquet przebiegł przedpokój i pchnął drzwi wychodzące na korytarz, potrącił stojącego za niemi jakiegoś młodego urzędnika.

— M. Raynaud — zawołał, co pan tu robi przy drzwiach?

I nie zajmując się dłużej sportsmanem pobiegł dalej. Automobil gotowy do jazdy czekał na niego przed domem. Wskoczył do niego, a szofer nie czekając na rozkaz ruszył naprzód. Było to zwyczajem Paulina Broquet wskazywać, kierunku jazdy, gdy nie trzeba było skręcać.

Automobil pędził, jak mógł najprędzej. Broquet spuścił nieco w dół taflę lustrzaną, znajdującą się za plecami szofera i osadzoną na osi tak, iż można było ją okręcać nietylko spuszczać.

— Plac Giełdy — krzyknął prędko!

Po chwili dodał:

— Co to za automobil pędzi za nami? Zdaje mi się, że gdyśmy jechali do ministeryum, to już nas wtedy śledził.

— Miałem właśnie to powiedzieć panu. Ja go także zauważyłem.

— Wewnątrz... kto? — pytał stylem telegraficznym.

— Mężczyzna, kobieta.

— Znasz?

— Nie.

— Widziałeś?

— Tak. Kobieta wyszła z automobilu zaraz po pańskiem wejściu do ministeryum.

— Poszła?

— Weszła do sąsiedniej kamienicy. Zauważyłem numer.

— Dobrze... A mężczyzna?

— Czekał do tej chwili... Jego automobil ruszył wkrótce po nas.

— Doskonale.

Po chwilce Broquet odezwał się:

— Zwolnij nieco biegu... Na ulicy Rivoli zatrzymaj wóz raptownie. Gdy staniemy, ty Gabyelu wyskoczysz i pójdziesz obejrzeć kamienice, do której weszła młoda kobieta. Jeżeli będzie można, wejdziesz do środka.

— Dobrze, panie.

W chwilę później, na ulicy Rivoli automobil według rozkazu raptownie został wstrzymany. Jadący za nimi musieli skręcić w bok, aby nie wjechać na stojący wóz.

Siedzący w automobilu nieznajomy wychylił się, aby poznać przyczynę tego skrętu, i Paulin Broquet mógł mu przez parę sekund przyjrzeć się. Głos uwiązł mu w gardle ze wzruszenia, gdy mówił jedno tylko słowo:

— On!

. . . .

Gabryel nie słyszał już tego wykrzykniku; stał na trotuarze i wołał na dorożkę automobilową.

Paulin Broquet rzucił szoferowi rozkaz:

— Jedź za automobilem, który nas ścigał dotychczas.

Ruszyli z miejsca. Detektyw nie spuszczał oka ze śledzonych. Widział dobrze ze swego miejsca numer porządkowy automobilu, lecz nie zanotował go sobie, gdyż nie wierzył w autentyczność jego. Od czasu do czasu w okienku umieszczonem z tyłu ukazywała się twarz właściciela wozu o brwiach gęstych czarnych, oczach błyszczących.

Tak dojechali do bulwarów.

Szofer Paulina Broquet był nie tylko doskonałym mechanikiem, lecz jednym z najzręczniejszych ajentów detektywa, to też nie trzeba było powtarzać mu dwa razy rozkazu śledzenia przeciwników. Manewrował zręcznie wśród tłoku, aby nie stracić z oczu ich automobilu.

W końcu śledzony wóz stanął koło trotuaru. Za nim zatrzymał się automobil Paulina Broquet, który dostrzegł jeszcze raz w okienku twarz o drwiących oczach.

Siedział kilka minut spokojnie, czekając na to, co zrobi z sobą przeciwnik, lecz gdy się nikt nie ukazywał, wyskoczył z automobilu i poszedł naprzód.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył St. Kowalówka, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nam zdarzenie, na które niecierpliwie oczekujemy.

```
o — o
d — n
i — n
a — a
a — a
l — k
o — a
l — n
e — y
o — a
s — r
e — a
m — k
o — a
i — o
s — n
p — y
o — o
w — r
e — a
```

Zadanie do przestawienia.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły znane polskie przysłowie:

A mój Wiktor łka, ale wlecze ramy do Eryka.

Zadanie przysłowiowe.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i utworzyć z nich znane polskie przysłowie.

1) Gdzie się dwu bije, tam trzeci korzysta.
2) Czem chata bogata, tem rada.
3) Na pochyłe drzewo kozy skaczą.
4) Niedaleko pada jabłko od jabłoni.
5) Wszędzie dobrze, w domu najlepiej.
6) Za króla Olbrachta wyginęła szlachta.
7) Gdzie cienko, tam się rwie.

Zadanie konikowe.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

ro	ni	ca	wo	pa	czer	co
mie	dzi	i rie	dno	dy	ka	jej
stru	bie	ma	ste	czyst	twin	dy
szych	skie	zło	ci	li	sze	jago
a	na	li	na	ma	ce	sze
li	wi	ca	pęk	ser	zło	cist

Logogryf.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam imię i nazwisko znakomitego współczesnego malarza polskiego.

```
    — — □ — —
  — — — □ — — —
    — — □ — —
      — □ —
        □
    — — □ — —
  — — — □ — — —
    — — □ — —
      — □
      — □ —
    — — □ — —
— — — — □ — — — —
  — — — □ — — —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Inaczej dziwne zjawisko. 3. Stopień wojskowy. 4. Wykrzyknik. 5. Samogłoska. 6 Uczucie. 7. Miasto w Królestwie Polskiem. 8. Imię męskie. 9 Miasto w Chinach 10 Samogłoska. 11. Dawny pieniądz rzymski. 12 Rzymski urząd. 13. Jedna z ulic w Kaliszu. 14 Wcielenie obcej prowincyi do własnego państwa.

Szarada.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Pierwsza, trzecia i czwarta jest w roślinnym świecie,
Trzecią-czwartą z konopi ludzie wyrabiają,
Całość imię, co na chrzcie bardzo często dają
Ale nigdy mężczyźnie, lecz tylko kobiecie.

Bilety wizytowe.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z liter na biletach ułożyć godność lub zawód poszczególnych osób i miejscowości, z której pochodzą.

ERAZM IGNAC. SOTER BASZA
W. Oo.

WIKTOR JERZY WEW
Sadowa-Krsów

MARCELI ANASTAZY ZENON OTTON TAPP
Spas ad Kęty

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Nikiel, taczki, jej dwa jaskierki, cyna, Tokio.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Conana Doyle:* **Dziwne powieści.** 2 tomy z rysunkami.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wa[illegible] Lipiński. Kli[illegible] zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.